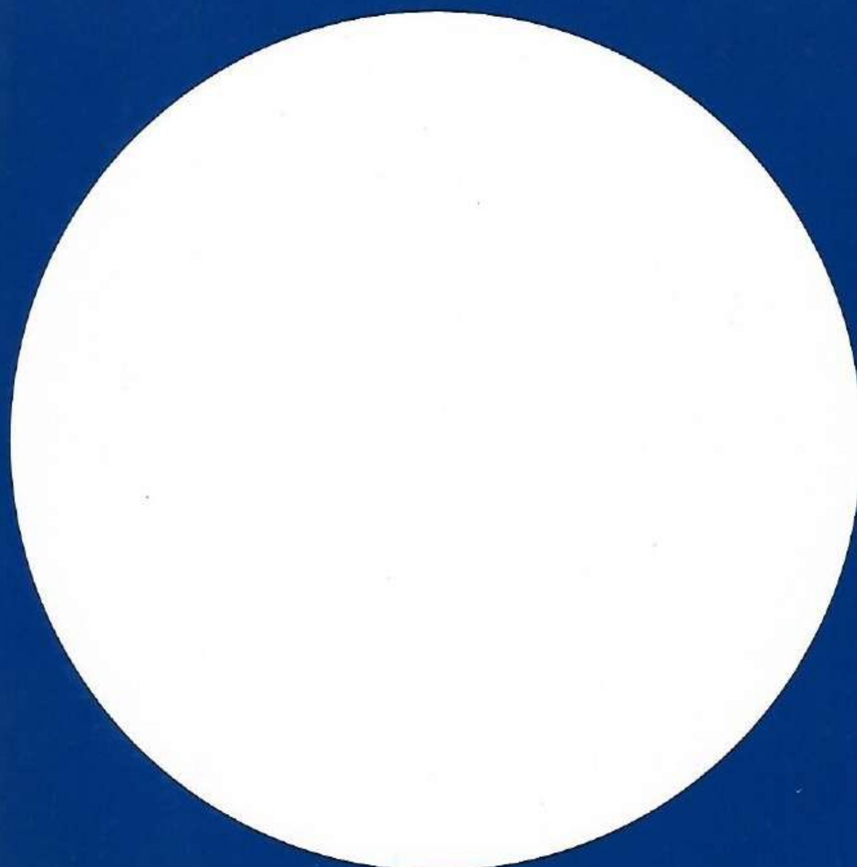
ANNA MIELNIK

BÓG CZŁOWIEKOWI TAKI LOS ZGOTOWAŁ...

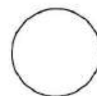


1

BÓG CZŁOWIEKOWI
TAKI LOS ZGOTOWAŁ...

ANNA MIELNIK

BÓG CZŁOWIEKOWI TAKI LOS ZGOTOWAŁ...



Okładkę projektowała
Marzena Wieczorek

Korekta
Zbigniew Adamski

Skład i łamanie
Toporzeł, Wrocław

Wydawnictwo Mielnik
00-957 Warszawa 36 skr. poczt. 51

Wydanie I

ISBN 83-908568-0-8

Los człowieka – jego nieuchronność. Co było siłą napędzającą bieg ziemskich wydarzeń? Po co w ogóle pojawił się człowiek we Wszechświecie? Człowiek nie może nie stawiać tych pytań, jeśli chce być świadomy swego bytu. I wielu stawia, ale zniecierpliwieni, że ucho natychmiast odpowiedzi nie słyszy, rzucają się w wir zwyczajności, sądząc opacznie, iż codzienność to jedno, a pytania o sens istnienia – to drugie.

Z BOGIEM NIE WYGRASZ

Bóg jako synonim nieograniczonej mocy i władzy nad człowiekiem jest wyobrażeniem z gruntu obcym rzeczywistej naturze człowieka. Walka i zwyciężanie to nieodłączny atrybut samego boga i całego jego otoczenia. Zmieniali się bogowie. Walka, jako wyznacznik boskości, pozostawała i trwa nadal. Bez męstwa i ofiary nie ma wyróżników. Zatraca się sens istnienia boga. Kwintesencję walki i zwyciężania ze wszystkimi niuansami słownymi, psychicznymi i fizycznymi skupiło w sobie chrześcijaństwo. Duch walki chrześcijaństwa podrywa do konfliktu, gdy zawodzą wszelkie inne inspiracje.

Duch walki, uświęcony kodem istnienia trójcy świętej, pieczętuje obowiązek bojowości. Stanowi o męskim priorytecie w ludzkiej egzystencji. Skazuje mężczyznę i kobietę na stałą opozycję.

Symbole boskości trójcy stanowią: ojciec, syn – mężczyźni i duch św. Relacja zachodząca między stwórcami jest stosunkiem zależności, podporządkowania cierpieniu i ofierze. Wyrazem boskości jest bezwzględne posłuszeństwo woli ojca, który gdy zostaje katem własnego syna, zyskuje na wyrazie swej boskości. Duch św. nigdy nie został zdefiniowany jasno przez interpretatorów chrześcijańskich – przedstawiany jest enigmatycznie jako siła, napęd boskości, tzn. męstwa, męskiej mocy, umożliwiającej zwyciężanie, pokonywanie, wyróżnianie się.

Tajemnica ducha św. jest sekretnym kodem zdobycia i utrzymywania władzy nad ziemskim człowiekiem. Konieczność utrzymania przewagi mężczyzny nad kobietą wskazuje podstawowe źródło uzyskiwania cudzej energii. By opozycja między pierwiastkiem żeńskim i męskim miała charakter stały – trzeba było powołać strukturę wiary, w której mężczyzna jest ponad wszystkim. Kobieta musiała być wyrzucona z układu trójcy. Lecz by płynęły z niej pożytki, koniecznie należało zachować z nią związek. Poniżana i utrzymywana w roli podczłowieka najlepiej spełniała swą rolę. Co najwyżej mogła się stać służebnicą pańską. Sztuczna

formuła zależności wymagała przymusu, bowiem człowiek miał inne wspólnotowe skłonności w sobie.

Równoważenie płci w prawach automatycznie przekreśla moc mistyfikacji trójcy i obnaża fałszywe podstawy wiary. Niweczy władzę mężczyzny, toteż nawet jako hasło było tępione.

Istota wiary zawarta w opozycji mężczyzny wobec kobiety mogłaby się nie utrzymać zbyt długo, gdyby nie wzmocniono jej również konfliktem wśród samych mężczyzn. Stąd mężczyźni – władcy kobiet wedle reguły trójcy św. – musieli podjąć ze sobą walkę o wyróżniki lepszości. Do tajemnicy ziemskiej ducha św. docierali tylko najwytrwalsi kombinatorzy, nieustraszeni wojownicy, ale i tak zyskiwali tylko przestrzenie zewnętrznej manipulacji. Ten paradoks myślowy w praktyce mógł się realizować tylko poprzez strukturę wiary.

Ziemski człowiek od pojawienia się wiary pracował na nieśmiertelność bogów, dla niego pozostawała nadzieja nieśmiertelności po śmierci – w ten sposób wyrabiał się nawyk niezbędności umierania ciała, wzmacniany i podsycany przyjęciem konfliktu do wnętrza człowieka. Nawet nie w pełni uświadomione przyjęcie istnienia ducha św. sprawia, że duch walki nie opuszcza człowieka ani w zmaganiach wewnętrznych, ani w stosunkach z innymi ludźmi. Funkcjonuje w jednostce ludzkiej, mimo że ta zmienia wyznanie, filozofie, partie.

Zdeklarowany ateista, mający przysłowiową chwilę wątpliwości w postaci słów: „Ale coś w tej wierze jest", skupia swoją energię na fałszywym kodzie ducha św. i pozwala na utwierdzenie się sprzeczności wewnątrz własnego ciała i psychiki. To wystarczy, by przekonanie, że wszystko ze sobą musi się ścierać, zostało utrzymane jako podstawowa funkcja wątpiącego, wahającego się ciała. Komórki zawierające pierwiastki męskie i żeńskie włączają się w program konkurencji i walki. Wraz z częściowym choćby przyjęciem kanonu wiary zaczyna się choroba – niszczenie ciała i umieranie.

W pokrętnej definicji trójcy św. zawarte jest fatum, nieuchronność losu ludzkiego. Konkurencja, konieczność zwyciężania raz wprowadzona w człowieka napędza się samoistnie – toteż życie ziemskiego człowieka musiało stawać się coraz krótsze i coraz bardziej obarczone chorobą.

Walka to umieranie, stąd i nieśmiertelność pozaziemskich bogów, kreujących tę walkę, może być tylko czasowa. Dokąd wystarcza pomysłów na organizowanie konfliktów, koncepcji na udrękę i zabijanie innych – długowieczność rządców świata ma się dobrze. Po zbadaniu wszystkich skutków płynących z walki – dalsze prowadzenie dzieła jest bezprzedmiotowe i umiera. Tej prawdy jednak ani bogowie, ani ich ziemscy pośrednicy nie chcieli przyjmować do wiadomości.

Tajemnica ducha św. skrzętnie wiekami była chroniona przez kapłanów. Zwykły człowiek wraz z poddaniem się jej otrzymywał wyłącznie uświęcone cierpienie. A pośrednicy boscy? No cóż, wystarczy prześledzić działalność zakonów i rosnącą potęgę Kościoła, by zorientować się, że w tajemnicy trójcy św. ukryta była potęga władzy nad człowiekiem. Wtajemniczano w nią tylko wybranych, wyróżniających się umiejętnościami kombinacyjno-manipulacyjnymi. Żeby zaspokoić różne smaki ziemskich amatorów władzy – potrzebne są masy ludzkie. Stąd ciągota do sterowania przyrostem naturalnym i napędzanie mechanizmów rozmnażania.

Gdy masa ludzka rozrasta się, zarzewia konfliktów rodzą się same. Dla gracza ludzkim losem pojawia się nowy typ podniet. W zaciszu klasztorów były wymyślane różne strategie walk. Powstawały różne programy zbiorowych zachowań. Badano siłę oddziaływania słowa i jego pokrętnych znaczeń na poszczególne jednostki. Eksperymentowano, jak stępić lub zahamować proces myślowy, by łatwiejsze stało się kodowanie wartości nie mających realnych odniesień do życia. Wielość formuł zakonnych służyła hierarchii do obserwacji i wyciągania wniosków z cudzego udręczenia. Na zakonnikach i zakonnicach niższego przeznaczenia testowano przez wieki typy reakcji na cielesną i psychiczną torturę. By wreszcie doprowadzić człowieka do intelektualnej konkluzji, że jedyną wartością dla niego staje się walka z drugim o przetrwanie. Sterujący procesem nagromadzoną agresję mogą wówczas kierować do starć, a sami upajać się chwałą boga.

Kapłańskich smakoszy walki nęcą intrygi myślowe, pociąganie sznurków marionetek ludzkich, które wcześniej się ukształtowało. Stąd obecność duchownych czy zakonników w wychowaniu, kształceniu, czyli na przedpolu walki, a później wspieranie wszystkiego, co ludzi dzieli na

grupy, wyłania przywódców, udział w tworzeniu się wrogich obozów. Władców i dwory zawsze otaczały gromady wyrafinowanych graczy kościelnych, spowiedników, którzy z lubością podsycali konflikty. Wyłudzali majątki, w zamian oferując pajęczynę uzależnień od struktur władzy.

Bitwy, kłótnie, konflikty to udręki, z których stwórcy czerpią pożywienie. Że ludzkie cierpienie było dla nich najlepszą strawą, zaświadczają dzieje ludzkie na Ziemi. Historia zaś chrześcijaństwa, spisana piórami rzeczników katolicyzmu, jest kroniką nieustających zmagań, nieludzkiego unicestwiania się ku chwale bogów.

Dla boga tworzy się potomstwo. W imię boga zabija się płodzone bez miary masy ludzkie.

Dla boga wznosi się świątynie, by w podniosłej atmosferze budować lęk przed wielkością i nieokreślonością stwórcy.

Przez wszystkie wieki nigdy wierni nie czerpali w kościołach wiedzy o zgodzie. Nie uczyli się sztuki porozumienia z drugim człowiekiem. Słyszeli co najwyżej, jak przygnieść kogoś miłosierdziem lub jak poświęcić życie komuś, czemuś, bez zastanawiania się, jaki jest realny sens tego cierpienia.

Ostatnie tysiąclecie – najlepiej udokumentowane – wprowadziło społeczeństwa Europy i nie tylko w przestrzeń najokrutniejszych walk i najbardziej wyrafinowanych tortur. Hasło „Bóg tak chce", wypowiedziane przez papieża Urbana II w 1095 roku, poderwało liczne narody do świętej wojny. Wojny krzyżowe z całym swym bezsensem zabijania trwały 200 lat. Nie szczędzono w nich nawet życia ledwo poczętego. W odbijanie grobu Jezusa chrześcijanie zaangażowali także dzieci. Kilkadziesiąt tysięcy istnień zatopiono, sprzedano w niewolę bez skrupułów, jako że nie ma ofiary zbyt wielkiej, gdy idzie o chwałę boga.

Cóż to za ojciec, nieograniczony w swej mocy i dobroci, co dopuszcza do haniebnej zbrodni? Nie hamuje kapłanów, gdy ci miliony istnień w krwawe mięso zamieniają. Czyż nie jest to jawne przyzwolenie rzezi, nie jedynej zresztą w dziejach narodów?

Bóg – woj i jego ziemscy pośrednicy nieźle się bawili, ludzką udręką sycili swoje okrucieństwo. W komentarzu duchownego kronikarza krucjat nie ma żalu po unicestwionych istotach ludzkich. Można natomiast przeczytać, że wojny krzyżowe nie osiągnęły celu głównego: wywarły jedynie wpływ na wszystkie dziedziny życia: wznieciły ducha ofiarności

z majątku i życia, zapewniły obronę miejsc świętych, ożywiły działalność misjonarską, podniosły powagę papiestwa, wzbudziły zainteresowanie życiem religijnym, zahamowały wzrost mahometanizmu, spowodowały rozwój miast, handlu, rzemiosła, żeglugi, matematyki, geografii, wprowadziły nowe przedmioty zbytku.

Rozwój zakonów rycerskich zdawał się najważniejszym osiągnięciem wojen krzyżowych. Udało się bowiem regułę życia zakonnego połączyć z obowiązkami rycerskimi. A to oznaczało: pogłębić i nobilitować ducha walki. Uświęcić różne jej aspekty: intrygę, grę, dyskusję, zmagania o jednostkowe racje. Do perfekcji doprowadzić mechanizm posiłkowania się cudzymi rękoma dla własnych celów.

Grzegorz VII, projektodawca I wyprawy krzyżowej, uznany przez rzeczników Kościoła za najwybitniejszego papieża – doczekał się miana świętego. To on przeprowadził fundamentalną reformę: Kościół musi być wolny od wpływów władzy świeckiej. Papież dla swej niezależności musi posiadać Państwo Kościelne. Wkrótce podpisano jedną z najstarszych umów między papiestwem i władzą świecką: konkordat wormacki (1122 rok), który był wyrazem zwycięstwa w walce o wolność Kościoła. W praktyce oznaczał gwarancje dla samowoli tej instytucji. Odtąd zawsze ogromną wagę hierarchia kościelna przywiązywała do kontraktu zwanego konkordatem.

„Kościół brzydzi się krwią" – to hasło wprowadziło chrześcijańską Europę w sześć wieków inkwizycji. Pierwszy sąd biskupów jako trybunał broniący czystości wiary zebrał się w 1229 roku. Od tej chwili Kościół katolicki przyznał sobie prawo osądzania, wyrokowania i karania wszystkiego odmiennego od idei chrześcijaństwa. Wszystko, co wychodziło poza schemat wyobrażeń boga katolickiego, było nazywane herezją i bezwzględnie tępione.

Sądy biskupie przeniosły walkę z pól bitewnych do kameralnych wnętrz sal tortur. Na polu walki obserwowano: co wynika z cierpienia masy ludzkiej. Badano, ile energii można uzyskać, gdy ginie mięso armatnie. Wprowadzenie inkwizycji i tortur służyło oglądowi cierpienia indywidualnego, procesowi unicestwiania myśli jednostkowej.

Z lubością kultywowano obrządek inkwizycji przez całe wieki. A kongregacja czystości wiary i moralności, zachowana w watykańskiej strukturze do dziś – zaświadcza, że udręka zadawana drugiemu człowiekowi

jest miłą strawą duchową ziemskich pośredników chrześcijańskiego boga. Nie zarejestrowano dokładnej liczby „wytępionych" heretyków. Ale wiadomo, że sześćsetletnia inkwizycja stanowiła akademię umiejętności zadawania człowiekowi cierpienia i śmierci. Pochłonęła miliony istnień. Stanowi do dziś arsenał wiedzy o zabijaniu wręcz i podstępem.

Tradycja Kościoła – to kanon mechanizmów unicestwiania ciała i psychiki, skarbnica pisanych i niepisanych formuł rozbrajania człowieka i niszczenia jego naturalnych konstrukcji obronnych. Za pomocą cierpienia wmontowuje się w człowieka wątpliwość, niepewność i bezradność. Intryga, skłócenie wewnętrzne jednostki i podsycanie konfliktów na zewnątrz tworzą bazę, na której pośrednicy boga najlepiej się czują; to dzięki niej bez cienia wątpliwości wprowadzają program boskiej chwały.

Syntezy wiedzy kapłańskiej stanowią szkołę taktyki, przebiegłości, sprytu, manipulacji umożliwiającej przeprowadzenie dowolnej bitwy i wygranie każdej batalii, zniszczenie każdej jednostki ludzkiej, nie poddającej się kanonom chwały boskiej.

Inkwizycję w pewnym momencie przekazano cywilnym sądom. Hierarchia kościelna zachowała jedynie nadzór nad rzezią ludzką i sterowanie nią. W ten sposób przedłużono karzące ręce inkwizycji, wzbogacono arsenał środków unicestwiania człowieka.

Większość ofiar inkwizycji to kobiety. Dlaczego one właśnie zyskiwały miano „heretyczek", „czarownic", choć przez wieki właściwie nieobecne w publicznym życiu – paktem trójcy św. wypchnięte z grona wojowników, stanowiących liturgię chrześcijaństwa?

Po wiekach prób lekceważenia funkcji kobiety w ludzkiej egzystencji okazało się, że jest ona przetrwalnikiem wiedzy sprzed chrześcijaństwa. Naturalnym odruchem kobiety była dbałość o zgodę w człowieczym łonie, troska o harmonię z naturą. To hamowało ducha walki w mężczyznach.

A myślenie wykraczające poza struktury walki, konkurencji, zawsze było groźne dla chrześcijaństwa. Ludziom, którzy się rozumieją, nie są potrzebni pośrednicy, ni bóg, ni kapłan. W kobietach, wykluczonych z paktu trójcy św. – nie kodował się duch walki. Kod trójcy boskiej jako twór wymyślony narzucił sztucznie wyższość mężczyzn i niższość kobiet – miał wymusić cierpienie i lęk przed mężczyzną – bogiem. W kobietach,

które zachowały wiedzę o istocie istnienia ludzkiego, trudno było wzbudzić lęk przed bogiem. Wiedziały swoje. Wolały stos niż wyrzeczenie się wiedzy. Tchórzostwo łatwiej wykreować w strukturach walki – jako opozycję wobec męstwa. Stąd w mężczyznach czym więcej męstwa, tym głębsze pokłady tchórzostwa.

Cóż to za bóg nieskończony w swej dobroci, do którego trzeba skłaniać torturą? Jeżeli człowiek ma wolną wolę, jak zapewniają rzecznicy chrześcijaństwa, powinien mieć prawo do egzystencji wedle własnych odczuć i intuicji.

Chrześcijaństwo bez ognia i miecza nie miałoby dzisiaj wielu zwolenników. Przeszczepione na teren Europy jako nieudaczna sekta judaizmu, przez całe wieki nieskutecznie konkurowało z wyznaniami europejskimi. Okrutny judejski bóg, wymagający od swych wyznawców bezwzględnego poddaństwa i mściwego odwetu („oko za oko, ząb za ząb" – główna zasada hebrajskiej sprawiedliwości), nie mógł przebić się przez bardziej ludzkich europejskich bogów. Po wiekach bojów dopiero opróżnił się europejski areopag i zrobiło się miejsce dla boga chrześcijańskiej sekty.

Centrum Europy, gdzie zamieszkiwali Słowianie, nie poddawało się bogom w ogóle. Wewnętrzną strukturę i odporność na wiarę tych ludów udało się przełamać dopiero chrześcijaństwem. A i to wymagało tysiąclecia, rzeszy strażników wiary – różnorodnej manipulacji zakonów, wyrafinowanych sposobów okupacji terenów i zniewalania ludzi. Coraz to nowe reguły zakonne sprawiły, że w Europie powstała prawdziwa sieć bojówek na rzecz nowego boga. Osiągnięto perfekcję okrucieństwa wobec jednostki ludzkiej. Hipokryzja wspięła się na szczyty. Ingerencję w cudzy los nazywano uświadamianiem. Okupację cudzej własności – rozprzestrzenianiem boga. Zabijanie człowieka zyskało miano patriotyzmu. Skłócanie, napuszczanie wzajemne na siebie ludzi – nazywano ożywieniem ducha wiary. Unicestwianie wymyślonego przeciwnika – obroną racji boskich, ochroną wiary. Hamowanie ludzkiego myślenia, tępienie samodzielnych wniosków – pokorą wobec tajemnicy boga. Rozbijanie tożsamości człowieka określano jako spowiedź, czyniąc podstawowy obowiązek z donoszenia na siebie i innych.

Chrześcijaństwo jako odłam judaizmu miało stonować metody walki okrutnego ojca ze Starego Testamentu i wprowadziło miłosierdzie jako

łagodniejszą formę udręki ojca z Nowego Testamentu. Poprzez cierpienie wewnętrzne poszerzało się jedynie pole walki człowieka.

Obrzeża Europy, na początku I wieku n.e. mające już swoich bogów, przywykłe do instytucji nadczłowieka, z oporem, ale dość szybko przystały na nowego boga – ojca.

Słowianie zaś, bez swarów pędzący życie – nie rozumieli zachęty do przyjęcia zwierzchności nad sobą. Słowian nie interesowały błyskotki władzy królewskiej ani miraż postaci boga. Od tysięcy lat twardo stali na ziemi, żyli w zgodzie ze sobą i naturą. I oto konflikt mieli uznać za lepsze prawo życia. Milczenie kronik przez całe wieki na temat Słowian nie jest dowodem braku ich obecności w Europie, a jedynie świadectwem, że był to lud nie zwyciężony, bo przez tysiąclecie mocny jednością, spójny wewnętrznie. A jeśli niepokonany – cóż było pisać o klęsce wojów. Zostało więc szydercze milczenie i pogardliwe epitety pod adresem Słowian: kraina barbarzyńców, prymitywni poganie.

O krwi przelanej za te ziemie, o męstwie i hardości tubylców słowiańskich nie wspomina się, bo to największy wstyd cywilizowanych wojowników: nie móc pokonać przeciwnika, o którym się mniema, że głupszy i słabszy. Nie umie grać, intrygować, ale zwycięża. Hardo oddaje krew, życie, a nie zdradzi swojej ziemi, ni braci. By pokonać proste prawa Słowian, trzeba było rzeszy kapłanów i zakonników nowego boga. Wieków benedyktyńskiej prowokacji i szantażu dominikańskiej krwiożerczości, zbrodniczego wyrafinowania jezuitów, by mądrość wewnętrzną Słowian zdławić, przymusić do przyjęcia pozoru, czyli boga, za fakt rzeczywisty.

Biskup, rada przyboczna kapłanów, biskupów, wyróżniki: arcybiskup, metropolita, patriarcha, egzorcysta – to wszystko powstało już w pierwszych gminach chrześcijańskich. Ci ustanowili siebie stróżami życia i obyczajów, sędziami w sporach prywatnych. Siedem sakramentów św. dyscyplinowało życie wiernych. Dni zaś uznane za święte i nabożeństwa utwierdzały powagę sztucznie stworzonej hierarchii. Msza kodowała niezbędność cierpienia, ofiary w postaci obowiązkowych darów dla pasterzy duchowych. Biskup – sędzia w sporach prywatnych – to stanowisko do osądzania: co jest słuszne z pozycji wiary, a co grzeszne. Za najcięższe grzechy uznano: bałwochwalstwo, morderstwo i rozpustę. Chrześcijaństwo, wyrosłe na cudzej ziemi – bogów gospodarzy uznało

za przejaw bałwochwalstwa. Swojego boga i bogaty ceremoniał nazwało liturgią, eucharystią. Z najcięższych grzechów wrogów – chrześcijanie uczynili własne przymioty. Sztandar z krzyżem, wizerunkiem Jezusa lub męczennika niósł śmierć milionom niewinnych ludzi. Dozwalał na niewolenie, gwałty, rozpustę, mordy błogosławione ręką najwyższych zwierzchników Kościoła. Majątki grabione ofiarom były celem pierwszym działalności misyjnej.

Wszędzie gdzie powstawały forteczne klasztory, strażnicy wiary skrywali tajemnice boga. Całe armie nadludzi nie oddawały się pustelniczym rozważaniom czy aktom miłosierdzia, a poprzez różne formacje zakonne śledziły wszelkie przejawy życia zewnętrznego i sterowały nimi.

Duchowni stratedzy planowali bitwy, opracowywali konflikty. Chrześcijaństwo sprawiło, że cała Europa wraz z przyjęciem wiary zaczęła dławić się krwią. Choć słowa opływały miłosierdziem, kontynent był rozdarty między zwalczające się narody. Scalał to jedynie oddech papieża i dążenie: pomnażać masy, dzielić ludzi, by rdzenna myśl o uniwersalnych prawach w narodach zamarła.

Co się udało w całej Europie, nie wychodziło z hardymi barbarzyńcami znad Wisły. Ci w gęstych borach żyli zgodnie, bez żadnych bogów i hierarchii ludzkich. Rządcy świata, zwani bogami, bez dopływu krwi nowej nieśmiertelność tracili. Chrześcijaństwem, najskuteczniejszym środkiem walki, postanowili opanować centrum Europy.

Najzręczniejszym kapłanom i zawziętym wojownikom dzieło złamania Polanina powierzono. By zgoda – choćby kilku jednostek – nie jednoczyła, nie zbudowała skutecznej opozycji wobec boga i nie ujawniła całej mistyfikacji.

Herezje, schizmy, reformacje to zręcznie rozpalane podniety walki, tworzenie sobie tzw. zagrożenia, wroga interesu boga. Intrygi i szpiegostwo mogą wówczas zyskiwać na sile. I tak się toczy życie pozorne. Ci dyskutują, owi spierają się o racje. Bezsensy uzyskują miano rzeczywistości. Giną miliony, a wierni wznoszą w podzięce modły do zbrodniarzy.

Rządcy świata zręcznie prowadzili na Ziemi boską batalię. Lecz czy na koniec nie ograli siebie samych? Oto światli mężowie przez siedemnaście wieków pochylali uczone głowy, wiedli dyskusje, spory, walczyli orężem o istotę trójcy św. i ducha św. – wymysłu podrzuconego z innej planety. Diabelską zaiste definicję podsunięto kapłanom, skoro tyle głów

Kościoła zaangażowała w kłótnię nad istotą ducha św. Deliberując, walcząc przez stulecia, nie dostrzegali swej śmieszności. Dzieło pozorne, którym się zajmowali, w końcu dla wielu stało się prawdą. Rzeczywistość obok nich przeciekła, a ci o kolejnych bataliach marzą. Śmieszność kapłańska mniejsza przez to nie bywa, że w pawie pióra obleczona.

Mąż niby mądry
A dziwne suknie przywdziewa
Ułudę teatru w kościele tworzy
Słowa pokrętne z ambony głosząc
Twierdzi, że boski interes załatwia.
Kimżeś jest kapłanie?
Co zwyczajnemu człowiekowi
Nic prosto nie powiesz?
Jeno nienawiść rozsiewasz.
W rozumach mącisz
zgodę chcąc zbrukać

Naród zmęczony swarów ma dosyć
Do zgody rękę wyciąga
Pamięć tej ziemi powraca ludziom

Nie mąć kapłanie wzniośle nadęty
Próżne twe sianie niezgody
Już nie napuścisz ludzi do walki

CHRZCZENI OGNIEM I MIECZEM

Europa środkowa była, według kronik, miejscem najdłużej porośniętym borami. Najstarsze zapisy dziejów ludzkich na tym terenie liczą sobie ledwie 1000 lat. Rozpoczynają się od wprowadzenia chrześcijaństwa, czyniąc wrażenie, że barbarzyńska ludność znalazła się w tym miejscu tuż przed własną chrystianizacją. Skąd prymitywni poganie mogli nagle pojawić się w centrum Europy i mimo naporu silniejszych społeczności utrzymać terytorium – tego kroniki nie wyjaśniają.

Jeżeli środek Europy był terenem przepastnych borów – to musiał nęcić waleczne ludy z obrzeży kontynentu. Te, zanim narzuciły chrześcijaństwo Słowianom, przez tysiące lat budowały swoją wielkość. Zdobywały coraz to nowe tereny. Wznosiły miejskie cywilizacje. Powoływały do istnienia różnorodne bóstwa i kolejnych bogów, by utwierdzić swą inność i lepszość wobec drugich. Wiara w enigmatycznych stwórców pozwalała na utrzymanie mniemań o własnej wyższości w stosunku do niewierzących.

Około 2000 lat temu do Europy wtargnęło chrześcijaństwo. Początkowo działające jako sekta judaizmu – bardzo szybko stworzyło w Rzymie olbrzymi aparat administracyjno-kultowy nowej wiary. Idea religii wybranej do rządzenia światem uskrzydlała chrześcijan. Chrystianizacja w swym założeniu miała opanować nie tylko Europę, ale cały świat.

Mechanizmy władzy wynikają z różnicowania interesów grup, społeczeństw, narodów. O władzy stanowi odrębność zachowań i trybu życia jednostek ją sprawujących. Pozycję pasożytujących zarządców umacnia walka. Toteż chrześcijaństwo od pierwszego tchnienia posługiwało się mieczem. Ogniem wypalało swoje racje. Walka jest nieodzowna w sianiu niepokoju, budzeniu lęku. Ten ostatni okazuje się niezbędny do wprowadzenia boga i utrzymania wiary w jego wielkość.

Wraz z umacnianiem się w Europie władzy judeochrześcijańskiej ze stolicą w Rzymie rosła w siłę również władza świecka narodu germań-

skiego, drugiego wybrańca „opatrzności" do rządzenia światem. Posłannictwo germańskie przez wieki ścierało się z posłannictwem judeochrześcijańskim – szczególnie na ziemi polskiej. Wielokrotnie wrodzy sobie władcy jednoczyli się, by skuteczniej osłabić Polskę. Posłannictwem chrześcijan było opanowanie ducha ludzkości swą religią, posłannictwem Germanów zaś – utworzenie rasy „nadludzi", którzy zgodnie z własnym interesem zorganizują życie na Ziemi.

Spisane dzieje Polski rozpoczynają się wraz z chrześcijaństwem, i jest to tysiąclecie historii krwią pisanej.

W X wieku pojawiła się polska dynastia Piastów z jej pierwszym księciem – Mieszkiem. Ta „rodzima" dynastia oznaczała dla Słowian obcy organizm wśród Polan.

Jeszcze w czasach biblijnych jedno z 12 plemion Jakuba – Izraela rozpłynęło się po świecie. To ono dało początek najstarszym rodom arystokratycznym i dynastiom Europy. Pojawiali się jako mędrcy, podejmowali się, pod pretekstem opieki, nauki uzdolnionych dzieci, asymilowali się ze Słowianami.

Dynastia piastowska wywodzi się od takiego opiekuna. Piast nie jest imieniem, oznacza piastuna, opiekuna. W historii znane były wypadki, gdy dynastię królewską rozpoczynał wychowawca dzieci książęcych.

Mieszko pojawił się w Polsce pod imieniem Dagome. Dago po łacinie znaczy: klinga, ostrze noża – i taka była rola człowieka, który wprowadził klingę chrześcijaństwa w lud słowiański. Przed śmiercią Mieszko sporządził dokument *Dagome iudex*, w którym oddał państwo gnieźnieńskie pod opiekę Piotrowej Stolicy Apostolskiej. Wcześniej przesłał papieżowi włosy syna Bolesława (Chrobrego) jako znak oddania go w opiekę Stolicy Apostolskiej.

Powszechnie uważa się, że Polska przyjęła chrzest w 966 roku za panowania Mieszka. A przecież około 60 lat wcześniej książę pogańskich Wiślan – Lestek zmuszony został do przyjęcia chrztu w obrządku bizantyjskim.

Chrzest stanowił sygnał: na ziemie polskie ruszyli obcojęzyczni misjonarze, najczęściej benedyktyni, wprawieni czterystuletnim niewoleniem ludów zachodnich prawem boskim.

Misjonarze pojawili się w gajach dębowych Słowian – niszczyli miejsca kultu. Stawiali tam krzyże, ołtarze i kaplice. W takiej akcji zginął

misjonarz Wojciech w Prusach. Wbrew woli miejscowej ludności postawił krzyż i odprawiał msze – upór przypłacił śmiercią. Napastnik ingerujący w życie pogan – Wojciech – zyskał miano męczennika i świętego. Został pierwszym patronem Polski. Kult św. Wojciecha wprowadzono dla celów politycznych – by niewolić wiarą Polaków.

Mieszko I i Bolesław Chrobry przymusili Polan do przyjęcia wiary. Sprzeciw ludności traktowali jako powstania pogańskie. Swoich dręcząc – opieką i fundacjami obdarowywali obce duchowieństwo. Wykształcili w zachodnich kolegiach pierwszych polskich zakonników. Benedyktyni jako doradcy i spowiednicy królewscy mieli pieczę nad wszystkimi tajemnicami młodego państwa, przekazywali je papieżowi.

Zadaniem duchownych doradców było: rozniecanie ambicji książąt, pragnień, marzeń o władzy, koronie, podbojach. Rywalizacja i zawiść miały ułatwiać osłabianie sporami młodego państwa chrześcijańskiego.

Książęta piastowscy stawali się okrutni i bezwzględni. Wszczepiana im ambicja oraz przymus konkurowania sprawiały, że rozgorzały walki. Brat zabijał brata, by przejąć kawałek ziemi. Za gwałtowne czyny wyznaczano pokuty. W konsekwencji powstawały świątynie, klasztory. W pokucie oddawano majątki na rzecz Kościoła.

Ludność buntowała się przeciw chrześcijańskiej niewoli. W latach 1030–1039 nasiliły się walki. Polanie chcieli żyć w zgodzie z drugim człowiekiem. Bóg chrześcijan okazał się tworem rozrywającym naturalną więź między ludźmi, rozbijał jedność, wprowadzał we wszystko konflikt. Gdy jednak Słowian nauczono walczyć – zaczęli palić obce tej ziemi kościoły, klasztory. Zabijali zakonników: najpierw pod wodzą Bezpryma, potem Bolesława Zapomnianego – syna Mieszka II i Słowianki Dobrawy.

Bolesław Zapomniany przez trzy lata przewodził rewolucji pogańskiej, aż Kościół doprowadził do jego śmierci. Następnie wymazał tego księcia z kronik i pamięci narodu. Choć był pierworodnym synem króla Mieszka II, został wykluczony z pocztu królów i książąt Polski.

W 1047 roku pod Płowcami ginie Masław, książę mazowiecki, obrońca rdzennej ludności słowiańskiej. Sprawił to Kazimierz Mnich Odnowiciel, który przeciw Masławowi wezwał wojska ruskie. Wincenty Kadłubek, wierny sługa Kościoła, kłamliwie opisał śmierć Masława: „obdarty ze

skóry, powieszony przez własnych stronników" – a wszystko po to, by lud zapomniał o swym obrońcy i bohaterze.

Zniszczoną walkami Polskę odnawia Kazimierz na zasadach chrześcijaństwa, tzn. wyniszczając korzenie słowiańskie. Za zasługi dla Kościoła, za zbrodnie na własnym narodzie otrzymuje zaszczytny przydomek: „Odnowiciel".

Bolesław Śmiały (1058–1081), zwany Szczodrym za swą hojność wobec Kościoła, nie doczekał się wdzięczności.

Konflikt króla Bolesława Śmiałego z biskupem Stanisławem ze Szczepanowa jest przykładem cynicznego fałszowania historii dla dobra Kościoła. Ze śmierci duchownego, ukaranego za zdradę króla, uczyniono incydent męczeństwa. A zbrodniarza wyniesiono na ołtarze. Nie pierwszy i nie ostatni to raz Kościół przestępstwo przerabiał na uświęcone dzieło.

Bolesław Śmiały, król energiczny i zdecydowany, popierał reformy kościelne, wprowadzane przez papieża Grzegorza VII. Uwikłany przez Kościół w wiele zewnętrznych sporów, mimo wewnętrznych knowań radził sobie z problemami. Odnosił kolejne sukcesy.

Stanisława ze Szczepanowa król otaczał szczególną opieką: wspomagał w karierze materialnej i duchowej. Pomógł w uzyskaniu biskupstwa krakowskiego, dzięki czemu ten osiągnął potęgę finansową. Ambitnego i zawistnego Stanisława to nie satysfakcjonowało. Król drażnił biskupa niezależnością, nieskrępowaną radością życia. Po otrzymaniu biskupstwa krakowskiego Stanisław wraz z biskupem niemieckim Ottonem i Sieciechem stworzył opozycję przeciwko Bolesławowi. Biskupi nastawiali lud przeciw królowi. Skłócali oddane mu rycerstwo. Podjudzali przyjaciół, również żonę władcy Judytę nastawiali przeciwko Bolesławowi. Stanisław, czując się zupełnie bezkarny, wyłudzał od ludzi majątki (sprawa rycerza Piotrowina). Im więcej zdrad wobec Bolesława miał na sumieniu, tym bardziej króla o „grzeszne życie" oskarżał. W czasie wyprawy kijowskiej Bolesława biskup Stanisław wespół z Sieciechem, wspierani przez stronnictwo niemieckie Władysława Hermana i późniejszego króla Czech, chcieli zdetronizować władcę polskiego. Bolesław ukarał surowo zdradę swoich rycerzy. Biskup Stanisław, nie pociągnięty do odpowiedzialności, stanął w obronie zdrajców. Trawiony ślepą zazdrością wkrótce znalazł następny pretekst do zaatakowania króla.

Bolesław z wyprawy kijowskiej przywiózł piękną brankę Lenę, w zapisach znaną pod imieniem Krystyna. Ta rozmiłowana była w królu, co wściekłość biskupa wywoływało okrutną. Sam był jurnym samcem i chciał jej wdzięków pokosztować. Branka jednak nieczuła pozostała na biskupie zaloty. Stanisław podstępem ją do siebie zwabił i okrutnie ciało jej okaleczył. W ten sposób chciał wziąć odwet na królu. I pokazać mu siłę Kościoła. To przepełniło miarę. Król postawił biskupa przed sądem, zarzucając mu wiele przewin, oszustw, zbrodni, zdradę państwa, a także okrucieństwo zadane niewinnej kobiecie. Sąd skazał biskupa na śmierć. Król dopilnował wykonania wyroku, a nie – jak podaje Kadłubek – sam zabił Stanisława.

Sprawę natychmiast wykorzystał Sieciech. Doprowadził do spisku. Prawowity władca Bolesław, jego żona i syn Mieszko musieli uciekać na Węgry. W klasztorze benedyktyńskim w Osjaku król został skrytobójczo zamordowany. Zyskał brat Bolesława – Władysław Herman, nowy władca. Po przejęciu rządów wprowadził politykę proniemiecką i prokościelną. Duchownych polskich wymieniał na niemieckich. Z Węgier sprowadził Mieszka i otruł go. Jak podaje Gall Anonim – lud płakał po otrutym synu Bolesławowym, bo człowiek to był szczególny.

Większość niecnych czynów politycznych Władysława Hermana – to wynik podpowiedzi doradcy, biskupa bamberskiego Ottona.

W 1253 roku papież Innocenty IV kanonizował biskupa Stanisława. Kronika Wincentego Kadłubka posłużyła za dokument heroicznej świętości Stanisława i niezwykłych zasług jego dla Kościoła. Kościołowi nie przeszkadzało w uświęceniu Stanisława, że współcześnie żyjący z biskupem kronikarz Gall Anonim pisze o nim: „traditor" – czyli zdrajca. Tak Polska otrzymała przestępcę za patrona. Naród, modląc się do takiego świętego, przyzwala na prawo Kościoła do zdrady.

Kościół budował swoje dogmaty na absurdalnych sprzecznościach, sprawdzał w ten sposób stopień otępienia wyznawców.

Jak bardzo udało się Kościołowi zaślepić katolickie narody – świadczy fakt, że za wyróżnienie przyjmują miano baranków, które to zwierzęta uchodzą za symbol głupoty. Wyznawcy nie widzą, jak w rzeczywistości pasterz traktuje stado: zabierając mu wełnę, mleko, w końcu prowadząc na rzeź.

Do czasów Bolesława Krzywoustego powoli, ale konsekwentnie rozprzestrzenia się sieć organizacji kościelnych i zakonnych w Polsce. By nastąpił skuteczny wzrost znaczenia i wpływów Kościoła, należało osłabić władzę monarszą.

Wykorzystywano do tego celu liczne potomstwo książąt. Wszyscy synowie Bolesława byli otoczeni doradcami zakonnymi, którzy podpowiadali: konflikt, kłótnie, walki.

Od śmierci Krzywoustego rozpoczyna się dwa wieki trwające rozdrobnienie dzielnicowe. Mieszanie się do polityki między pięciu synów Bolesława i ich następców stanowiło podstawowe zajęcie biskupów. Arcybiskup Jakub ze Żnina doprowadził do wygnania pierworodnego syna Bolesława Krzywoustego – Władysława II, co znalazło też wyraz w przydomku księcia-seniora. Biskup krakowski Gedeon sprawił wygnanie trzeciego syna Bolesława – Mieszka Starego.

Katolicki komentator rozbicia dzielnicowego Polski, ks. Roman Archutowski, tak opisuje te fakty: „W tych czasach jedynie Kościół przez swą hierarchię łączył cały naród. Liczne synody biskupów i duchowieństwa pod kierownictwem arcybiskupów gnieźnieńskich lub legatów papieskich ogłaszały wiele ustaw religijnych i świeckich, a tym samym utrzymywały porządek w państwie”.

Sprowokowanie konfliktu, rozbicie jedności, wyciągnięcie z owego stanu rzeczy wszelkich możliwych korzyści, zalegalizowanie zbrodni to nazywa się „utrzymywaniem porządku w państwie”.

Ostatni syn Bolesława Krzywoustego, Kazimierz, za swoją uległość wobec możnowładztwa i duchowieństwa nazwany zostaje Sprawiedliwym. Przydomek ten nadaje mu biskup Kadłubek, który idealizuje Kazimierza i wielkie jego zasługi dla kraju. Gloryfikacja pośledniego władcy stawia go niezasłużenie w rzędzie wybitnych polskich panujących.

W XII wieku, za Kazimierza Sprawiedliwego, duchowieństwo było już potęgą finansową. Kościół zdobywał coraz większą niezależność i autonomię. W 1180 roku w Łęczycy ośmiu biskupów wymogło na Kazimierzu Sprawiedliwym rezygnację z wielu uprawnień władzy książęcej.

Rok 1207 – to okres największego ograniczenia suwerenności Polski. Leszek Biały pod wpływem arcybiskupa gnieźnieńskiego oddaje Polskę pod „protekcję” papieża i otrzymuje ją z powrotem jako lenno.

W 1215 roku Leszek Biały i Konrad Mazowiecki uznali swobody Kościoła, zwolnili duchowieństwo od sądów świeckich oraz wyrazili zgodę na wybór biskupów bez udziału władzy świeckiej.

Niespełna 200 lat chrześcijaństwa wystarczyło, by rozbić kompletnie wspólnotę słowiańską. Polacy otrzymali obcy „wszczep” w postaci króla i społeczeństwo podzielone na wrogie klasy. Szlachta, stworzona jako klan lepszych, stała się pasożytem klasy żywicieli; osaczona przez doradców duchowych, stanowiła posłuszne narzędzie zakonnych intryg. Ambicje oraz przesadne wyobrażenia z jednej strony i poczucie winy z drugiej – to schemat wychowawczy szlachcica, odbierający mu człowieczeństwo. Tak ukształtowana jednostka była stale gotowa do buntu i walki. Potwierdziła to cała późniejsza historia Polski.

Misjonarze, zakony, biskupi uczynili ze Słowian niewolników idei boga – sprawili, że z ich trudu i skłócenia korzystali ziemscy pośrednicy boga, czyli duchowni.

Kościół umocnił prawami boskimi własność prywatną, którą przejął od innych. Kobietę uczynił własnością mężczyzny.

Słowianie do pojawienia się chrześcijaństwa nie znali pojęcia: własność. Ziemia należała do wszystkich. Nie znali również pojęcia własności człowieka. Nie funkcjonowało prawo dziedziczenia. Z ojca na syna przechodziły tylko narzędzia pracy i praktyczna wiedza. Wspólna praca, wspólne plony wzbogacały cały ród. Praca była naturalnym obowiązkiem i korzystali z jej wyników wszyscy według potrzeb.

Wprowadzenie w życie społeczne pieniądza, głównego pośrednika wymiany dóbr, stało się okazją do oszustw i przywłaszczania za jego pomocą dorobku pracy innych. Z upływem czasu wraz z rozrastaniem się gospodarki towarowo-pieniężnej pieniądz-pośrednik zaczął żyć własnym życiem, stał się kolejnym bogiem i uzależnił człowieka od siebie całkowicie.

Po śmierci Krzywoustego kraj, za przyczyną Kościoła, był osłabiony bratobójczymi walkami, rozbity na skłócone dzielnice. Grupa biskupów rozgrywała swoje prywatne interesy rękami potomków Bolesława. A jednak wtedy jeszcze, mimo licznych konfliktów, naród polski wciąż dążył do zgody i jednoczenia. Antagonizmy podsycane przez różne działania zakonne po jakimś czasie wygasały.

Dopiero wprowadzenie do Polski kolejnego zakonu, a właściwie hordy najemników rycerskich zwanych Krzyżakami, umocniło strategię Kościoła w kraju. Dało podwaliny państwa zakonnego.

W 1226 roku Konrad Mazowiecki – wnuk Krzywoustego – za radą duchownego osadził na ziemiach polskich Zakon Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego. To pełna nazwa Krzyżaków, a zarazem przykrywka fałszerstw i zbrodni, popełnianych przez rycerzy-zakonników. Krzyżacy w Polsce bardzo szybko urośli w potęgę. Stanowili regularną armię. Lubowali się w gwałtach i rzeziach. Napady, grabieże, mordy, tortury ludności słowiańskiej, niewolenie prawowitych właścicieli, fałszowanie dokumentów własności – to ich praktyki codzienne. Ich miłość do boga, wyrażana ofiarami ludzkimi, przyniosła im papieskie błogosławieństwo. Rycerze z najświętszą Marią na ustach i czarnym krzyżem na szatach (podstawowe symbole chrześcijaństwa) nieśli człowiekowi najokrutniejsze tortury i śmierć.

Bezwzględne metody walki późniejszych systemów totalitarnych, sposoby unicestwiania człowieka przez służby specjalne i mafie swój rodowód wywiodły między innymi z Zakonu Marii Panny, czyli Krzyżaków.

Za panowania Bolesława Wstydliwego w latach 1243–1279 kraj stał się terenem kolonizacji dla Niemców i Żydów posługujących się prawem magdeburskim. W 1257 roku księgi miejskie Krakowa pisano w języku niemieckim. Patrycjat większych polskich miast był niemiecki. Polska ulegała germanizacji, co w konsekwencji doprowadzało do uszczuplania skarbca kościelnego. W tej sytuacji biskupi, którzy wcześniej wprowadzali zachodnich kolonizatorów, teraz zaczęli „bronić" polskości. Wypierani przez kler niemiecki i osadników czuli usuwający się grunt.

Arcybiskup Jakub Świnka w 1285 roku na synodzie w Łęczycy przeprowadził zakaz nadawania cudzoziemcom dostojeństw kościelnych i probostw. Od kierowników szkół kościelnych zażądał znajomości języka polskiego. Klasztorom groził odebraniem fundacji, gdyby nie przyjmowały Polaków. I oto duchowieństwo, które najpierw dało władzę królewską poganom, a następnie doprowadziło do jej rozbicia, rozdrobnienia dzielnicowego, zubożenia ludności rdzennej, uzależniło od siebie władzę świecką (doradztwo, spowiedź), teraz z kolei zaczęło walczyć o polskość. Pokrętna polityka Kościoła w Polsce i Europie to część realizacji „planu boskiego", gdzie każdy duchowny podległy papieżowi

miał wypełniać w Polsce zbożne dzieło ubezwłasnowolnienia narodu taką oto metodą: Rozbiję was, skłócę, niepostrzeżenie sprowadzę biedę, odbiorę siły. Wtedy przyjdę głośno głosząc miłosierdzie. Zjednoczę was wiarą. Dam zniewolonemu katolicyzmem narodowi patrona zdrajcę, byście za jego przykładem nie zaprzestawali walki, niezgody, zdrady.

Za panowania Władysława Łokietka (1261–1333) rozszerzenie wpływów Kościoła przejawiło się zapaleniem pierwszych stosów inkwizycyjnych. Zakonem rozniecającym owe stosy byli dominikanie – powołani jako strażnicy czystości wiary w 1215 roku. Już w 1223 roku biskup Iwo Odrowąż sprowadził ich do Polski. Podczas rozbicia dzielnicowego szybko doszli do ogromnych majątków. Piastując urząd najwyższych inkwizytorów oczyszczali ludzkie myślenie z herezji, czyli samodzielności, i z bluźnierstw, czyli odwagi. Włoczyli w człowieka hipokryzję, pokrętność, kombinację, konformizm, uległość wobec fałszu. Zamęczyli lub palili żywą myśl.

Hasło czystości wiary dawało w gruncie rzeczy pełnię władzy nad człowiekiem. Taka była cena papieża za przyznanie prawa do korony Władysławowi. Łokietek, który chciał podjąć próbę zjednoczenia rozbitych dzielnic Polski w jedno państwo, zgodził się na tę szatańską propozycję. Zręczny strateg, konsekwentny w działaniu, borykał się z niezwykłymi trudnościami. To, że zostawił swojemu następcy państwo złożone z Małopolski, Wielkopolski i części Kujaw – graniczyło niemal z cudem. Przez cały czas panowania Łokietek był nękany przez Krzyżaków i uwikłany w walkę o Pomorze. Na południu zmagał się z Wacławem czeskim. Pozostawał również w ciągłym konflikcie z Janem Luksemburskim. Większość walk, które musiał prowadzić Łokietek, to zasługa zdrad i knowań biskupa Jana Muskaty. Biskup układał się zarówno z Luksemburczykiem, jak i Krzyżakami, by tylko nie dopuścić do wzmocnienia i zjednoczenia Polski. Jego „zasługą" były też wewnętrzne bunty rycerzy bądź innych grup ludności. Łokietek musiał wielokrotnie uciekać z kraju dzięki „owocnym" knowaniom biskupa Muskaty.

Kronikarze opisujący dzieje Polski od początków jej istnienia do końca średniowiecza – to ludzie zakonni na usługach Kościoła. Ich relacje o panowaniu poszczególnych królów czy książąt, jak i przydomki nadawane władcom były uzależnione od poddaństwa Kościołowi. Jeśli rządzący

wilejami – kościelny dziejopis przy jego imieniu dopisywał: Sprawiedliwy, Odnowiciel, Wielki.

Kazimierz Wielki potrafił się układać z Kościołem jak dobry handlowiec. Dbał jedynie o wspólnotę interesów z najwyższą hierarchią Kościoła – zyskiwał dzięki temu bezkarność. Korzystał z tego, że każdy grzech lub zbrodnię dało się odkupić. Tak z odkupienia win (a było ich wiele, bo Kazimierz uroki i radości życia doczesnego cenił bardzo wysoko!) powstał podziwiany „kazimierzowski gotyk" i jego kościoły „baryczkowe". Fundacja kościołów „baryczkowych" wiązała się z zabójstwem księdza Baryczki, który na polecenie biskupa Bodzanty publicznie przekazał królowi biskupie połajania. Należy to uznać za przemyślany akt polityczny. Znając brak pokory i ambicję króla – wiadomo było, że ksiądz wysłany został na pewną śmierć. Ale śmierć stanowiła najpewniejszy środek wymuszania kolejnych świadczeń i ustępstw królewskich. Król grzeszył. Za jego grzechy płacił naród, bo fundacje pochodziły z trudu całego społeczeństwa.

Instytucja kar i nagród okazała się najlepszym pomysłem zapewniającym dochód bez kalania się pracą. Służyła do przechwytywania zysków i procentów wytworzonych przez innych i była źródłem zubożenia narodu. Państwo Kościelne posługując się intrygą i zdradą, nie gardząc też wyłudzaniem, stało się największym potentatem kapitałowym na świecie i tak oto uświęciło kolejną wartość pozorną – czyli pieniądz. Obdarowując pieniądz atrybutem boga uczyniło zeń obiekt uwielbienia i zarazem narzuciło wymóg walki o niego.

System finansowy utwierdził w jednostkach posiadających umiejętności manipulacyjne pasożytnictwo. Pracę zostawił jako przeznaczenie stada – korzyści oddał w ręce pasterzy. Chrześcijaństwo usankcjonowało grę. Nie umiesz grać, nie chcesz intrygować – twoje miejsce jest w stadzie.

Mecenasi sztuki, dobroczyńcy Kościoła, feudałowie świeccy i duchowni – nigdy nie pracowali. Samodzielnie nie czynili niczego na rzecz drugiego człowieka. Ofiary swoje składali kosztem innych. Uzależniali i niewolili poddanych. Ziemię przejmowali dzięki sprytnym zabiegom. A lud ograbiony zmuszali do pracy, płacenia dziesięciny duchowieństwu, świętopietrza Rzymowi i należności właścicielowi ziemi.

Kościół katolicki raz wślizgnąwszy się do Polski szybko powiększał swoją własność. Fałszerstwa dokumentów, przywilejów i nadań książęcych należały do zwyczajowych praktyk. „Autentycznych dokumentów książęcych przechowało się z XII wieku trzy, podrobionych na imiona książąt zaś siedemnaście" (wg: Wojciech Kętrzyński, *Studia nad dokumentami XII wieku*, Kraków 1891, s. 107). Pod koniec wieku XII dyplomatyka polska bądź Polski dotycząca obejmuje 150 pozycji, z czego 46 to dokumenty przez Kościół i w jego materialnym interesie sfałszowane.

Wszystkie dokumenty sporządzone w tych czasach były pisane przez sługi Kościoła po łacinie. Przykład szedł z góry. Watykan – kościelna organizacja państwowa – powstał również z oszustwa i walki. *Donatio Constantini*, dokument cesarski, mocą którego cesarz Konstantyn miał darować Kościołowi rozległe ziemie Italii, to falsyfikat.

Podobną metodą budowało się pospiesznie państwo rzymskokatolickie w Polsce. Testamenty spisywali jedyni piśmienni w kraju, zatem duchowni. Wymuszanie darowizn weszło w zwyczaj, tak że dla zbawienia duszy i połowa spuścizny była zapisywana na cele kościelne. Arcybiskupstwo gnieźnieńskie początkowo przyjęło 149 osad wiejskich. W XIV wieku miało już 11 miast i 330 wsi.

Okazało się, że chrześcijaństwo – idea zbudowana w całości z mistyfikacji – stało się intratną koncepcją wygodnej egzystencji. Ci, którzy szybko przejmowali reguły boskiej gry: sprytni fałszerze, bezwzględni naciągacze, bezkompromisowi intryganci, nie wahający się zdrajcy – wspinali się na szczyty władzy. Za swoją nieuczciwość zyskiwali możliwość osądzania innych, karania win domniemanych. Oszczerstwa, rzucane bez skrupułów na przeciwnika, pozwalały pozostawać zdrajcom poza rozliczeniem. Immunitet autorytetu Kościoła rozprzestrzeniał przywileje pasożyta, prowadząc do unicestwiania żywiciela.

Ponad 40 lat rządził Polską i Kościołem biskup Zbigniew Oleśnicki. Zręczny taktyk z prawdziwym instynktem władzy precyzyjnie i celnie manipulował królami: powodował większością decyzji Władysława Jagiełły, przejął ster rządów za Warneńczyka, dopracował się kapelusza kardynalskiego za Kazimierza Jagiellończyka, który wprawdzie biskupa odsunął od wpływów, ale manipulacji nie ukrócił.

Oleśnicki konsekwentnie budował zwierzchność Kościoła w Polsce, ograniczał wpływy władzy królewskiej. Rękami samego Jagiełły pognębił urząd królewski.

Złamanie potęgi Krzyżaków, rozbicie kilkunastu tysięcy zbrojnych rycerzy, śmierć mistrza i dostojników zakonnych – to mogło uwolnić Polskę od groźby krzyżackiej. Dzieło Jagiełły spod Grunwaldu w 1410 roku, do którego król w wielkim trudzie kraj i wojska przygotował, za przyczyną Oleśnickiego poszło wniwecz. Kapłan zadbał, by pokonani Krzyżacy złożyli niewielkie zobowiązania pokojowe, a i tak ich nie spełnili. Oleśnicki jako sekretarz królewski tak sterował pokojowym układem, by Krzyżacy posiadłości swych nie oddali i nie ponieśli strat finansowych.

Spontaniczne wsparcie dla Jagiełły ze strony Rusinów, Litwinów, czeskich husytów, oddziałów tatarskich – pokazało, że Władysław Jagiełło potrafił jednoczyć ludzi. Ze zgody mogła płynąć siła i popularność władcy. Potwierdziła to praktyka: czescy husyci i Związek Pruski zgłosili chęć przyłączenia się do królestwa Jagiełły, lecz Oleśnicki nie dopuścił do utworzenia takiej wspólnoty. Bez skrupułów knuł przeciw jedności to z możnowładcami polskimi, to z Zygmuntem Luksemburczykiem, to z Krzyżakami, mając pełnomocnictwa do prowadzenia pertraktacji. Polska interesowała go wyłącznie jako baza rozszerzania i umacniania własnej władzy. Konsekwencją była uległość Polski wobec Zakonu – przyzwolenie na długie lata grabieży ziem polskich i Litwy przez Krzyżaków.

Biskup Oleśnicki nieustępliwie zwalczał reformatorski ruch husytów. Rozprawiał się bezwzględnie z myślącymi inaczej niż katolicy. Przeciwstawiał się ostro wszelkim próbom działania husytów na rzecz Polski. Doprowadził do przymierza Władysława Jagiełły z żarliwym obrońcą Krzyżaków, Zygmuntem Luksemburskim, gwarantując tym samym pomoc w zwalczaniu husytów. Zasady husyckie uznano za zbrodnie i karano je jako herezję.

W 1454 roku Związek Pruski zwrócił się z prośbą o włączenie Prus do Polski. Wierny sługa Kościoła Oleśnicki zaoponował i nie dopuścił do zjednoczenia. Prusy do Polski przyłączyły się dopiero wówczas, kiedy Kazimierz Jagiellończyk odsunął Oleśnickiego od doradztwa.

Po śmierci Władysława Jagiełły w 1434 roku władzę przechwycili możnowładcy pod wodzą biskupa Zbigniewa Oleśnickiego i jego brata Jana. Biskup Oleśnicki realizując program Kościoła unicestwił ruch hu-

sycki. Zdławił tym samym rodzącą się samodzielną myśl ludzką. Politycznie podporządkował Polsce Litwę – co było złamaniem wspólnoty na rzecz ingerencji i zwierzchnictwa jednego z członków. Osłabił skutecznie władzę królewską, wprowadzając rządy duchowieństwa. Dążył do elekcyjności tronu polskiego, by mieć możliwość korzystnego handlu tronem w prowadzonej polityce zagranicznej.

Królem formalnie wybrano dziesięcioletniego Władysława. Rządy sprawowała rada królewska braci Oleśnickich. Gdy Władysław osiągnął pełnoletniość, posadzono go na tronie węgierskim. Dzięki temu przedłużył się okres regencji Oleśnickiego. Władysław Warneńczyk, wychowany na ultrakatolika, miał na względzie głównie interesy Kościoła. Na polecenie Rzymu, wsparte argumentacją Oleśnickiego, zorganizował wyprawę antyturecką. W 1444 roku po zwycięskich walkach podpisał pokój z Turkami. Przyjmując warunki pokojowe, przysięgał na ewangelię, podobnie jak Turcy na Koran, że uzgodnione warunki pokoju będą zachowane. Kardynał Cesarini – legat papieża – skłonił jednak Władysława do złamania przysięgi i poprowadzenia kolejnej krucjaty antytureckiej. Kardynał uznał bowiem, że chrześcijaństwo na pokoju zbyt mało zyskało, a więc jest pokrzywdzone. Wielu rycerzy polskich odmówiło udziału w hańbiącej wojnie. Władysław mimo to poprowadził wyprawę, która skończyła się totalną klęską wojsk chrześcijańskich i jego śmiercią pod Warną.

Historia Władysława Warneńczyka i jego ojca Władysława Jagiełły to klasyczny przykład manipulacji władcami Polski przez Kościół. Tak tworzono legendę uzasadniającą hasło „Polska przedmurzem chrześcijaństwa". Tak pozór przeradzał się w tradycję, którą synowie narodu musieli kultywować, składając hołd fałszywym wartościom.

Władysławowi Jagielle przyszło się zmagać nie tylko z biskupem Oleśnickim. Bezkompromisowym zdrajcą był książę opolski Władysław zwany Opolczykiem. Ze względu na szerokie wpływy w Polsce i za granicą wiele zła przyniósł krajowi. Pochodził ze zniemczałej linii Piastów śląskich, spokrewniony był z Ludwikiem Węgierskim. Opolczyk został namiestnikiem Rusi Czerwonej z misją oderwania jej od Polski na rzecz Węgrów. Drogą do tego celu miało być umocnienie pozycji Kościoła na Rusi. Sprowadzał więc Opolczyk dominikanów i franciszkanów, fundując im klasztory i tworząc biskupstwa. Państwo kościelne rozprzestrze-

niało się na wschód. Opolczyk za wypełnianie zadań został hojnie wynagrodzony przez Ludwika Węgierskiego nadaniami lennymi ziemi dobrzyńskiej, części Kujaw, Złotoryi, Bydgoszczy.

Gdy na tronie polskim zasiadł Jagiełło, Władysław Opolczyk mistrzowi Zakonu Krzyżackiego Ulrichowi von Jungingen złożył propozycję rozbioru Polski między Krzyżaków, Zygmunta Luksemburskiego i króla Wacława. Kiedy zamiary nie powiodły się, usiłował dokonać zamachu na Jagiełłę i zająć zamek królewski. Zmarł znienawidzony, wzgardzony przez wszystkich, nawet przez Krzyżaków. Pomnikiem zdrajcy stała się jedynie Jasna Góra. A pomnik to szczególnego znaczenia. Jego geneza pozornie była banalna: otóż Opolczyk będąc namiestnikiem Rusi Czerwonej, natknął się w Bełzie na obraz Czarnej Madonny, która miała w sobie przechowywać wielką tajemnicę wiary.

Opolczyk, oddany sługa Kościoła, wykradł czy wyłudził tajemnicze malowidło i postanowił je „ochronić" w Polsce. Gdy o łupie powiedział Ludwikowi Węgierskiemu – ten polecił mu ufundować klasztor paulinom i im przekazać niezwykły obraz pod opiekę. Opolczyk wzniósł twierdzę klasztorną na Jasnej Górze i sprowadził do Polski paulinów z Węgier.

Zaskakujące zainteresowanie Ludwika Węgierskiego i paulinów Czarną Madonną wynika z kilku powodów. By je wyjaśnić, trzeba sięgnąć do znaczeń symbolu hebrajskiego w chrześcijaństwie i do magicznej mocy przypisywanej poszczególnym znakom.

Malowidło Czarnej Madonny przedstawia postać kobiety o czarnym obliczu. Czarny kolor symbolizował magiczną wiedzę, którą ma w sobie kobieta. Czarna Madonna odziana jest w płaszcz z liliami. Kwiaty te – to symbol dynastii andegaweńskiej, która w wyprawach krzyżowych zajęła Jerozolimę i grób Jezusa. Ludwik Węgierski, potomek Andegawenów, a zarazem konfrater paulinów, przyczyniając się do sprowadzenia obrazu i zakonników do Częstochowy ożywił tym samym centrum ściągania energii z wyznawców chrześcijaństwa.

Paulini w XIV wieku stanowili arystokrację zakonną. Byli strażnikami hebrajskiej tajemnicy dotyczącej źródła życia na Ziemi. Hierarchia tego zakonu umiała posługiwać się wiedzą tajemną, używać energii do magicznych zjawisk, znała język i wymowę symboli kabały. Herbem paulinów było drzewo palmowe, strzeżone przez dwa lwy. W tle znajdował się czarny kruk z bochenkiem chleba w dziobie.

Dla pospólstwa spreparowano interpretację, według której palma miała być symbolem matki boskiej, lwy to Jan Ewangelista i Archanioł Gabriel, strzegący czystości jej ciała i duszy. Kruk z chlebem w dziobie wyrażał nakaz zaopatrzenia paulinów w dobra, jako że herbowi zakonnicy nie mogli kalać się pracą, nie byli zakonem żebraczym.

W istocie znaczenie herbu paulińskiego jest inne: palma, roślina prawie niezniszczalna, łatwo odradzająca się, stanowi symbol zwycięstwa Jezusa – pośrednio triumfu chrześcijaństwa. Lew obrazuje panowanie nad myślą indywidualną. Kruk przedstawia hebrajską ambicję. Chleb w dziobie kruka to pokarm od bogów, którzy aspiracjami karmią swych pośredników.

Dwoistość symboliki sprawia, że modląc się do matki boskiej, w istocie wyznawca składa siebie w ofierze zwycięstwa Jezusowego i triumfu chrześcijaństwa. Oddaje swoje samodzielne myślenie. Nasyca się podświadomie ambicją, która doprowadzi go do konfliktów z otoczeniem.

W XIV wieku chrześcijaństwo w Europie uległo regresowi. Ruch husycki zdobywał wielu zwolenników, ożywiał samodzielne myślenie. Chrześcijaństwo domagało się nowej podniety, by przyciągnąć wyznawców. Ani okrutny bóg w majestacie trójcy św., ani inkwizycja, ani liczni męczennicy – święci nie wystarczali do utrzymania autorytetu wiary katolickiej. Czarna pani andegaweńska przy wiedzy i sprycie paulinów mogła spełnić takie oczekiwania. Bóg – mężczyzna przytłaczał swą mocą, budził lęk poprzez swój okrutny wizerunek, nawet ukrzyżowany Jezus wywoływał strach. Przed oblicze kobiety współczującej, a później również cierpiącej – gdy Madonnie zraniono policzek – łatwiej przynosiło się własne cierpienie, łatwiej otwierało się przed nią własne wnętrze. A to oznaczało dostęp do energii psychicznej człowieka. Kiedyś na chwałę Jezusa – mężczyźni oddawali cierpienie swego ciała lub ofiarowali mu życie. W kulcie matki boskiej zaczął człowiek oddawać więcej: energię psychiczną.

Jasna Góra była (i jest do dziś) miejscem szczególnym na planecie – skupiskiem energetycznym, którym ludzie mający wiedzę mogli operować, wywołując magiczne zjawiska (wiele klasztorów na takich miej-

niektórych pielgrzymów, innym dawać poczucie mocy lub zapewniać doznania tzw. olśnień i objawień. Paulini z Jasnej Góry, przynajmniej przez jakiś czas, umieli się kontaktować z rządcą Ziemi zwanym bogiem. Dowodzi tego obraz pochodzący z okresu wojen szwedzkich, a przedstawiający latające kule, które przyniosły ratunek oblężonym w klasztorze przez Szwedów.

Kult Czarnej Madonny z centrum pielgrzymstwa narodowego w Częstochowie służy do pozyskiwania energii człowieka z modlitwy. Stany uniesień emocjonalnych czy wzruszeń powodują naruszenie indywidualnej struktury psychicznej i myślowej człowieka. Zbiorowe akty polecania się autorytetowi sprawiają, że jednostka nawet po opuszczeniu sanktuarium należy do sieci wyznawców, przekazujących swą energię organizatorom kultu. Ta zaś w zręcznych rękach manipulatorów zamienia się w potęgę boską, która człowieka coraz bardziej przytłacza.

Czyż nie jest więc ironią nałożenie Czarnej Madonnie korony polskiej? Ta postać wyraźnie symbolizuje cierpienie bezradnej kobiety. Korona tylko uświęca ten ból. Pielgrzymki zdążające do sanktuarium udręczenia ziemskiej kobiety przez modły i cierpienie ugruntowują istnienie pozornej prawdy, utwierdzają egzystencję mitu.

Męczeńska funkcja kobiety to jednocześnie ukoronowanie cierpienia Polski. Wieczna męczennica, a mimo to nieustannie pomagająca innym: by nie ożyła jej normalność, by nie odrzuciła pozorów i nie pokazała swej prawdziwej twarzy światu. Ukoronowanie cierpienia to pętla zaciśnięta na gardle narodu, dzięki której Watykan może pomnażać swą chrześcijańską potęgę.

Nad sentymentalnym mitem czuwały przez stulecia tysiące paulinów, gromadząc w podziemiach Jasnej Góry insygnia męskiej władzy, waleczności i zwierzchności nad światem. Gromady pielgrzymów, władcy, możni, oddając się pod opiekę mitu cierpienia – nie tylko stają w szeregu bałwochwalców, lecz dołączają do stada owiec, którymi pasterze według swej woli zarządzają.

Benedyktyni, dominikanie, paulini i niektóre pomniejsze zgromadzenia zakonne – oto prawdziwa plaga Polski. Urzędnicy boga nigdy nie czuli się gospodarzami swojej ojczyzny.

Chrześcijaństwo wykształciło kastę bezwzględnych pasożytów. Duchowieństwo, niczym komórki rakowe nastawione na unicestwienie

żywiciela – zachłannie pożerało Polskę; niszczyło przejawy myślenia, a mimo to ducha samodzielności nie udawało się zabić w Polakach. Choć katolicyzm swoimi wpływami przygniatał cały kraj – to każdy powiew innego myślenia był w Polsce przyjmowany spontanicznie i rozprzestrzeniał się bardzo szybko. Tak było z ruchem husyckim, który poważnie zagroził katolikom. Za Jagiełły stał się hasłem do wspólnoty narodowościowej kilku słowiańskich państw. Gdyby nie talenty manipulacyjne biskupa Oleśnickiego, zapewne w centrum Europy doszłoby do samoistnego zjednoczenia kilku narodów pod opieką Polaków. Zgoda była i jest największym zagrożeniem dla chrześcijańskiego boga – toteż wspólne wysiłki Rzymu i jego przedstawicieli nigdy nie dopuszczały do zawiązania się trwałych układów przyjaźni ani wewnątrz państwa, ani między sąsiadującymi krajami.

Ruch husycki w XV wieku, późniejsze wpływy reformatorskie luterańskie i kalwińskie, działalność braci polskich (arian) w XVI i XVII wieku niezwykle życzliwie przyjmowano w różnych grupach społecznych. A to dowodzi, mimo istnienia jarzma katolickiego, otwartości Polaków na inne prądy myślowe.

Za panowania Zygmunta Starego rozprzestrzeniła się nowa myśl protestancka, skierowana przeciw wszechwładzy Kościoła katolickiego. Próba orężnego stłumienia protestantyzmu, podjęta przez władcę wraz z biskupem krakowskim Piotrem Tomickim, przyniosła skutki wręcz odwrotne. Kalwinizm, arianizm, luteranizm objęły całą Polskę. Powstawały znakomite, postępowe szkoły ariańskie uderzające w skostniałe szkolnictwo katolickie.

Za Zygmunta Augusta (1520–1572) zrodziła się myśl stworzenia kościoła narodowego oderwanego od Rzymu, ale królowi, uwikłanemu w życie emocjonalne, zabrakło sił na głębsze zrozumienie i realizację tej idei.

Usiłował on jedynie pogodzić katolików z protestantami, ale zgodę wykluczała opozycja katolickiej hierarchii kościelnej. Nie mogła dopuścić do przejęcia „dusz" przez szkolnictwo protestanckie, zwłaszcza że w samym szkolnictwie kościelnym zaczęły rodzić się bunty o charakterze antyklerykalnym (jak żaków krakowskich w 1549 roku). Biskupi: Karnkowski, Solikowski i Myszkowski wymusili wówczas na królu zezwolenie na wprowadzenie jezuitów do Polski z zadaniem odnowy szkolnictwa

i walki z reformacją. W 1564 roku kardynał Hozjusz sprowadził jezuitów do Polski.

10 lat później doszło do zburzenia świątyni innowierców w Krakowie przez młodzież katolicką. Zabito także kilku protestantów. Kardynał Hozjusz ten czyn skomentował słowami: „Czego nie śmiał ani król, ani biskup, to zrobić ośmielili się studenci akademii krakowskiej, godni wiekuistej pamięci, których chwałę cały kościół sławić będzie". Takie stwierdzenie kardynała zachęcało społeczeństwo do brutalnej nietolerancji wobec ludzi inaczej myślących i utwierdzało katolicką rację nawet ponad przykazanie „Nie zabijaj".

Wkrótce dzięki jezuickim przedsięwzięciom wprowadzono w Polsce „porządek", a jedność protestancką rozbito. Wobec innowierców przygotowano oskarżenia i „dowody" współpracy z wrogami Polski. Najlepsi z nich musieli Polskę opuścić jako zdrajcy. Katolicki Kościół został uratowany. Wyłączność władzy duchowej zachowana. Jezuicki manewr powtarzano w Polsce wielokrotnie. Kiedy tylko myśl ludzka wzbijała się ponad poziom grzędy katolickiej, kiedy duch narodu odrywał się od przeciętności – natychmiast montowano oskarżenia. Nowe powiewy myśli rozsadzano i niszczono. (Tak stało się też w naszym stuleciu z „Solidarnością", której idee rzucono na stopnie ołtarzy, by się z klęczek nie podniosła i nie mogła wolna wzlecieć ponad podziały).

Wraz ze Stefanem Batorym (1576–1586) rozpoczął się nowy okres świetności Kościoła katolickiego, wsparty o szeroką działalność jezuitów. Nic dziwnego, że Batory był władcą bardzo wysoko cenionym przez Kościół.

Polacy wraz ze sprowadzeniem jezuitów ulegli najcięższej chorobie ducha i ciała. To właśnie perfekcyjnym jezuitom zawdzięczamy ukształtowanie matrycy Polaka-katolika, człowieka bez twarzy: bezmyślnego fanatyka funkcjonującego bądź w stereotypie prawicowym, wstecznym, bogoojczyźnianym (bóg, honor, ojczyzna), bądź też lewicowym, antyklerykalnym, demokratycznym, ateistycznym. W ten sposób utrzymano wieczne skłócenie narodu, wieczną walkę pomiędzy lewicą i prawicą. Sprawiono, że ludzie nie mogą się porozumieć, mimo że mają podobne dążenia. Dzięki katolicyzmowi ludzkość funkcjonuje w permanentnym rozbiciu, ale bez tego pośrednicy nie mieliby władzy. System wielopartyjny również opiera się na zasadzie: dziel i rządź. Im więcej partii, tym większy chaos, tym słabszy naród – ale i większa władza Kościoła. Oto ideał – on jeden żerujący na wszystkich skłóconych.

Zakon jezuitów został powołany w 1534 roku przez Ignacego Loyolę. Przewidziany do specjalnych zadań, posiadał strukturę wojskową opartą na dyscyplinie i tajności działania.

Trzy zasady kierowały życiem jezuity:
- autorytet papieża (to on rozgrzesza, a właściwie zastępuje sumienie jezuity);
- cel uświęca środki: dla dobra Kościoła można stosować tortury, egzekucje, inkwizycję, polityczne morderstwa;
- dozwolone jest krzywoprzysięstwo w interesie wiary lub Kościoła.

Jezuitom wyznaczono cztery obszary działania:
- konfesjonał: do inwigilacji, intrygi, manipulacji politycznej;
- ambonę: do agitacji politycznej, kodowania wzorców osobowych, systemów wartości, ocen, tworzenia opinii publicznej;
- szkołę: do łamania myśli i psychiki, kodowania dogmatów, uczenia na pamięć, kształtowania wiary w autorytety, nauki dysput o absurdach;
- misje: do rozprzestrzeniania wpływów Kościoła, ingerencji, kolonizacji nowych terenów.

Jezuici wychowywali duchownych i młodzież z rządzących sfer arystokratycznych. Program ich cechowały: nietolerancja, fanatyzm religijny, współzawodnictwo, donosicielstwo – a wszystko to pod hasłami „złotej wolności". Od 1587 roku działała jezuicka Sodalicja Mariańska – stowarzyszenie szkolnej młodzieży męskiej, propagujące kult maryjny. Jej członkowie, fanatyczni obrońcy katolicyzmu, stali się szczególnym narzędziem oddziaływania Kościoła na życie społeczne, byli siłą niszczącą wszelkie struktury ładu – i realizatorami chaosu.

W miarę rozkwitu szkół jezuickich postępowe szkolnictwo ariańskie uległo zagładzie – za co Jan Kazimierz w 1658 roku otrzymał od papieża tytuł „Rex Orthodoxus".

W dobie królów elekcyjnych Kościół rozszerzał swoje wpływy. Do funkcji prymasa była przypisana regencja w czasie bezkrólewia. Prymas –

pełniący w warunkach bezkrólewia rolę naczelnika państwa – miał decydujący wpływ na wybór króla.

Po śmierci Jana Sobieskiego prymas Michał Radziejowski (syn zdrajcy) sprzedawał koronę Polski trzykrotnie: Francuzom, Sasom i Szwedom. Na sejmie w Lublinie w 1703 roku udowodniono mu zdradę (za co przeprosił) – i pozostał dalej prymasem, kontynuując swe nikczemne poczynania.

Jezuita Piotr Skarga nauczał naród polski w swoich słynnych kazaniach: **„Pierwej kościoła i dusz ludzkich bronić aniżeli ojczyzny.** Pierwej o chwałę Bożą zastawić się niźli o cześć świecką. Pierwej wiecznej ojczyzny nabywać niż doczesnej. (...) jeśli zginie doczesna przy wiecznej się ostoim".

Skarga działał w czasie panowania królów Stefana Batorego i Zygmunta III Wazy. Wywarł ogromny wpływ na współczesne mu i późniejsze pokolenia Polaków. Jako kaznodzieja, nauczyciel i organizator był perfekcyjnym wykonawcą woli rzymskiego Kościoła. Złożywszy czwarty ślub czystości był całkowicie i bezwolnie podporządkowany papieżowi. Jego zasługi dla Kościoła to sieć szkolnictwa na Litwie, w Krakowie szereg bractw religijnych i charytatywnych. Bractwo charytatywne Skargi oznaczało organizacje lichwiarsko-bankowe, w których obracano ogromnymi kwotami. Przedsiębiorczy jezuita upowszechnił operacje lichwiarskie i był założycielem pierwszych lombardów w Polsce.

Zakony misyjne jezuitów na handlu i lichwie zdobyły ogromne majątki, nie tylko w Polsce, ale i w Ameryce i Azji.

Efekt jezuickiego nawoływania do ofiarności na cele katolickie to zwiększenie liczby klasztorów z 67 w XVI wieku do 1165 w następnym stuleciu.

Za miarę patriotyzmu uznawano bałwochwalcze obwieszanie obrazków świętych drogocenną biżuterią. Na obronę granic, gdy znalazły się w niebezpieczeństwie, środków brakło!

Po pierwszym rozbiorze Polski liczniejsza była armia duchownych (31 137) niż armia żołnierzy (18 425).

Duchowieństwo oczywiście odmówiło wsparcia dla okradzionego przez siebie skarbu państwa. Kwiecistym pustosłowiem wzywali do patriotyzmu i dalszych ofiar. Winą za zaistniałą sytuację obarczano społeczeństwo, które w ocenie duchowieństwa zbyt ułomne moralnie było, by bronić ojczyzny.

Okres saski (lata 1697–1763) okazał się najbardziej haniebnym w dziejach Polski. Wtedy to wszechwładne były w naszym kraju wpływy Kościoła rzymskokatolickiego i doszło do prawdziwej okupacji nieszczęsnej Rzeczypospolitej przez jezuitów. Hasła tej epoki brzmiały: „Polska nie rządem stoi", „Za króla Sasa jedz, pij i popuszczaj pasa". Państwa sąsiednie traktowały Polskę jak karczmę. A równocześnie Polska szczyciła się posiadaniem 400 cudownych obrazów matki boskiej.

Rok 1717 to koronacja matki boskiej częstochowskiej na królową Polski i zarazem początek końca suwerenności Polski.

Jezuici rozpanoszyli się wszędzie, obsiedli cały naród, wsączając w ludzi truciznę walki i nietolerancji. W 1724 roku wydarzyła się tzw. sprawa toruńska. Na skutek prowokacji uczniów szkoły jezuickiej protestanci zniszczyli kolegium jezuickie. Powołana specjalna komisja wydała wyrok śmierci (który wykonano) na burmistrza Torunia i dziewięciu uczestników rozruchów. Burmistrza skazano za to, że zlekceważył wydarzenie.

Przykładem nietolerancji i fanatyzmu religijnego rozwijającego się pod naciskiem ideologicznym kleru była ustawa sejmowa z 1733 roku, pozbawiająca dysydentów praw politycznych, dostępu do urzędów i możliwości sprawowania funkcji poselskich.

Okrucieństwo jezuitów po 200 latach działalności sięgnęło szczytów. Narastał sprzeciw społeczeństw. W 1773 roku pod naciskiem opinii światłych ludzi zostaje rozwiązany zakon jezuitów, w tym czasie liczący 24 tys. członków. Lecz w Polsce bardzo szybko upomniano się o reaktywację okrutnego zakonu. Uczynili to targowiczanie w 1792 roku. Uczestnicy spisku antypolskiego nie mogli sobie poradzić z krnąbrnym narodem bez udziału jezuickich służb specjalnych.

Bez skrupułów sprzedano Polskę za rosyjskie pieniądze, a uczynili to hierarchowie duchowni (targowiczanie) – biskupi: Ignacy Massalski, Władysław Łubieński, Gabriel Podoski, Michał Sierakowski – zdradą zaś obarczono słabego króla i niemoralny naród. Targowicę wsparli również katoliccy magnaci: Szczęsny Potocki, Rzewuski, Branicki.

„My tedy Senatorowie, Ministrowie Rzplitej... konfederujemy się i wiążemy się węzłem nierozerwalnym konfederacyj wolney przy wierze

Świętej Katolickiej Rzymskiey..." Zwrócili się oni oficjalnie do Rosji po pomoc zbrojną. W cztery dni później wojska carskie przekroczyły granicę Polski. Papież Pius VI pobłogosławił zabór Polski. Stanęły naprzeciw siebie dwa ugrupowania: stronnictwo reform i obóz bogoojczyźniany. Targowiczanie zagarniali fundusze publiczne, rujnowali skarb państwa, represjonowali przywódców obozu reform 3 Maja. Patriotów zmusili do emigracji. Rzewuski i Szczęsny Potocki przedstawili Katarzynie II projekt reaktywowania ustroju z czasów saskich lub przekształcenia Polski w federacyjną republikę bez króla. W odpowiedzi na tę propozycję sąsiednie mocarstwa dokonały rozbioru Polski. Obóz bogoojczyźniany wraz z całym katolickim narodem utracił swą niepodległość.

Zdrajcy zaś zażądali przywrócenia w Polsce zakonu jezuitów i oddania im z powrotem szkolnictwa.

Duchowieństwo polskie na przestrzeni dziejów nie tylko wysługiwało się Rosji czy Niemcom. Świadome akty narodowej zdrady były składane jako dowody lojalności wobec rzymskich przełożonych. Rozkazy Watykanu zawsze oznaczały słabość Polski i potęgę Kościoła.

Przykładem tego są dzieje kodeksu Andrzeja Zamoyskiego. Projekt ustaw wzmacniających Rzeczpospolitą w czasie rozbiorów był niekorzystny dla Rosji i Kościoła w Polsce. Papież Pius VI oraz nuncjusz Archetti na spotkaniu z ambasadorem Rosji w Watykanie Stackelbergiem zdecydowali: „aby prawa przez J.P. Zamoyskiego uformowane tak zostały umorzone, iżby się wspomnienie o uszy nasze ani potomków nie obiło". Reszty dopełniło duchowieństwo polskie. Wpłynęli na posłów tak, że ci bez czytania „zaczęli drzeć kodeks i rzucać go z łoskotem na ziemię". Zdarzyło się to 31 października 1780 roku w sejmie (Łukasz Kurdybacha, *Dzieje kodeksu A. Zamoyskiego*, 1951 rok, s. 120).

Tworzone w 1807 roku jako zalążek państwa polskiego po rozbiorach Księstwo Warszawskie wzbudzało ogromny sprzeciw papiestwa. Do opozycji papieskiej przyłączył się arcybiskup Raczyński wraz z episkopatem. Mimo opozycji Księstwo Warszawskie pojawia się na arenie politycznej, a hierarchia kościelna, pozostając wroga, wnosi roszczenia wobec ledwo powstałego państwa, żądając rozszerzenia uprawnień kościelnych i podniesienia uposażeń duchownych. Swych interesów pilnuje uczestnicząc w obradach senatu.

Kolejne działania na rzecz odzyskania niepodległości przez Polskę: spiski, walki narodowowyzwoleńcze, a szczególnie powstania z lat 1830 i 1863 były ostro potępiane przez rzymską kurię. Polska hierarchia kościelna również nie chciała zrywów powstańczych. Biskupi zaniepokojeni o stan swego posiadania wydawali polecenia składania donosów na powstańców i spiskujących. Dążenia niepodległościowe Polaków uważano za godzące w całość zasad i jedność państw Świętego Przymierza. Dla biskupów: Przyłuskiego, Sedlaga i Bończy-Tomaszewskiego interes Rzymu był ważniejszy od wolności narodu.

Gdy zabłysła następna nadzieja na odzyskanie niepodległości przez Polskę w okresie pierwszej wojny światowej, hierarchia wezwała katolików w trzech zaborach do udziału w wojnie po stronie poszczególnych zaborców. Natomiast po odzyskaniu niepodległości przez Polskę w 1918 roku biskupi nie przejęli się stanem kraju wymęczonego niewolą i zaborami; przystąpili do bezwzględnej egzekucji swoich własności, przejmowali również majątki kościołów innych wyznań. Bez żadnych skrupułów ogałacano skarb państwa, by poprawiać kondycję finansową Kościoła. Niedawni współpracownicy zaborców, biskupi i duchowni – po wyzwoleniu natychmiast zasiedli w ławach sejmowych i w senacie. W parlamencie znalazło się kilkudziesięciu księży. Setki innych brało czynny udział w działalności partii prawicowych. W sejmie duchowieństwo torpedowało wszystkie reformy społeczne.

Episkopat przy współudziale Akcji Katolickiej chciał doprowadzić do całkowitej klerykalizacji kraju.

10 lutego 1925 roku Polska podpisała konkordat z Watykanem, z pozycji interesów Kościoła uznany za jeden z najlepszych. Duchowieństwo zostało zwolnione ze służby wojskowej. Zapewniono mu wzmocnioną ochronę prawno-karną. Przyznano ogromne ulgi podatkowe. Do szkół jako obowiązkową wprowadzono religię. Przymus praktyk religijnych sprawił, że katolicyzm stał się religią państwową. Prezydent musiał składać wyznaniową przysięgę. Zakony opanowały wychowanie i szkolnictwo. Weszły w posiadanie około 1000 przedszkoli, ponad 200 szkół podstawowych i tyluż średnich; posiadały trzy kościelne szkoły wyższe, mnóstwo zakładów opiekuńczych, burs i internatów, około 300 szpitali. Ponadto duchowni rozporządzali kilkudziesięcioma wydawnictwami i drukarniami, wydawali ponad 200 czasopism.

Z tytułu roszczeń majątkowych po podpisaniu konkordatu w rękach Kościoła znalazło się 320 tys. hektarów ziemi.

Odkąd powstała struktura państwowości polskiej aż po czasy współczesne nigdy nie było grupy bardziej uprzywilejowanej w Polsce jak Kościół.

Gorycz tragicznej refleksji zawiera wypowiedź Seweryna Goszczyńskiego, który tak na przykład pisze w 1841 roku o katolicyzmie w swych dziełach: „Urządziwszy Polskę w swoim duchu, podniósłszy się nad nią władzą duchową, pojrzał na nią jak na swoją własność, zapragnął zmienić ją w ślepe narzędzie swojego bezwarunkowego samowładztwa. Stąd wynikło, że ją ociemnił jezuityzmem, duchem cudzoziemszczyzny sprowadził z drogi czysto narodowej, nietolerancją zakrwawił, zeszpecił, rozdzielił, zesłabił, następnie upodlił, przywiódł nad przepaść zguby i w końcu przeklął".

Plemiona rozeszły się, ale spokojny żywot wiodły. Nie znały zemsty, krzyża, zdrady. Mimo że osobno ciałem, przez myśl się łączyli pamiętając czasy zgody. Żyli na wielkim żywym terenie. A na nim w puszczy osad niewiele, by z borem harmonii dochować. Ale w pamięci też mieli czasy, gdy z Góry zostali przegnani. Czasy pożogi, ognia i miecza, który im nie był znany. W ostępach puszczy znów czuli się wolni i ład znów poczęli budować.

Nie trwało to długo. Przyszli wędrowcy. Pytali Słowianie, skąd oni, lecz odpowiedzi nie otrzymali. Pod dach ich przyjęli, bo im ufali, dali strawę i nocleg.

Z początku wędrowców nie było zbyt wielu. Patrzyli na Słowian z pogardą. Lecz szybko spostrzegli, że naród ten ufny. I głupim go zwali. Pod maską zgodności weszli, aby złamać w nim prawa.

Trudno im było z początku zasiać niezgodę, bo Słowianie mało używali słów, by myśli czystej nie skazić. Ale wędrowiec – gość w domu, niegodnie go nie wysłuchać. A przybysze swą obecnością porządek poczęli narzucać i rzeczy bez potrzeby naruszać. Nie widział Słowianin przyczyn tych zmian. Przybysz niby to dobrą radą bądź gestem służył, by sobie uważanie zdobyć. Potem dopiero zaczął o mądrym wszystkowiedzącym władcy opowiadać. Co go nie prawa, lecz lud ma chronić, boga słuchający.

Słowianie nie wiedzieli, co to bóg, więc obcy wszystkie wydarzenia zaczęli bogu przypisywać. Gardło niekiedy poderżnęli temu, kto za dużo praw w sobie niósł i boga słuchać nie chciał, by nie był przeszkodą. A wśród ludu inaczej wyglądali, niekiedy zdawać by się mogło – dobrze im z oczu patrzyło. A i wyleczyć co poniektórą chorobę umieli.

Nie raz jeden radę Słowianie zwołali, gdy obaczyli, że przybysz, niby to nic nie robiąc, w nich zgodę psuje i jako choroba w ciało włazi. Wtenczas obcy słabł nagle, choć po prawdzie był zdrów jak ryba. Zostać chciał, by sobą dalej rozbijać i zwodzić Słowian niby to prawdy mówiąc. Opowiadał, że tęskni do kraju swego, a wrócić nie może, bo słaby. Obiecywał, że rzeczy wielkie umie robić. Potem cuda w różnych miejscach

dziać się zaczęły. Niekiedy znalazła się i taka osada, którą w całości wypalili, bo zbyt mocno więzy zgody trzymała. Obcych zwyczajów lud wpuścić nie chciał. Boga, co przybysz przyniósł – odrzucał. Przykazań narzuconych nie słuchał. W każde plemię inaczej musieli uderzyć, by prawa wytrzebić. Tu podstępem, tu zgrozą, cudem, tu znowu błyskotką kupić. I obrazy tworzyli tych, co się Słowianom jako żywi ludzie pojawiali, a obcy ich bogami zwali.

Energię czarni przybysze umieli formować w obrazy i słowa, co zdawało się, że z nieba płyną. Nie umieli rozeznać Słowianie, co tu prawdą, a co fałszem, bo fałszu nie znali. Sztuczki magiczne obce im były. Wędrowcy wtedy zaszyci w listowiu baczyli, by być niewidocznymi. Cieszyli się, ale radość to była inna. Nie z prostoty płynąca, lecz z krzywdy drugiego. Głupcami Słowian nazywali, bo potem sami przez się coraz częściej różne zabawy wymyślać poczęli, by sobie również czas próżnowania wypełnić. A śmiać się z cudzej krzywdy lubili. Wiedzieli też, że muszą zmian dokonać, gdyż nad nimi również miecz za nieposłuszeństwo wisiał. Taki sam, jakim oni ludzi zgodnie żyjących częstowali.

Woda tryskała podczas suszy, choć Słowianom nie było to dziwne, bo i sami poruszać chmury umieli. Wiedzieli, że skała żywa i wodę da, gdy tylko potrzeba wypłynie. Ale miast tego dalej cuda widzieli. Tak ich obcy otumanił. Wmówił, że to od boga pochodzi. Słońce zakryć umieli na dni całe, grad w piękną pogodę stworzyć, a gniewem bożym dalej to nazywali. Prosty lud nie chciał, by plony mu zniszczyć. Zaczął więc boga dopuszczać. A czarni trzymali dalej gry pozór. Jak ludzie byli posłuszni – świeciło słonko. Jak praw chcieli dochować – zaraz Pan grzmiał z nieba.

Obcy, co panami Słowian się stali, w każdą czynność wglądali i w każdej rzeczy ręki bożej dopatrywać się kazali. Nawet w drobnej chorobie. A patrzyli na Słowian, czy ich ciała odporne, co znieść jeszcze mogą, jak zabawić się można cudzym bólem.

Lęk w nich zasiali. Lęk przed bogiem, którego Słowianie nie znali. Tworzyli cuda, które bez potrzeby w puszczy się działy, a tylko jej harmonię zakłócały. Lud zgłupiał, pracować zaprzestał, a tylko ręce do modlitwy składał, co przybysz go nauczył. Chleba brakować zaczęło. Tedy czarny strawę dawał i o państwie swoim, które pod boga opiekę jest dane i dlatego niczego tam nie braknie – opowiadał.

Wędrowcy czarne krzyże mieli pod szatami swymi. Lecz nikt ich z początku nie widział. Po kilku wiekach cudów i łamania praw dopiero znak ten – pieczęć swą – na zewnątrz odkryli. Bogiem się kazali nazywać, przed bogiem klękać, stawiać bogu chwalcze kaplice. Z wędrowca w klechę się przeobrazili. Gdzie był cud, tam klechy same energię z Ziemi kradły, na jego uczynienie. Miejsca, gdzie niegdyś Słowianin sił nabierał, by móc dalej iść w drogę, teraz świętymi się stały i klękać trzeba było, by się przed gniewem bożym uchować.

I nauczyli Słowian „siły". Uczyli ich liczb, uczyli, że w liczbie potęga: „im was więcej, tym więcej silniejsi jesteście" – i nakazali mnożyć się jak szczury.

Lecz co rusz rodził się człowiek, a praw wiele jeszcze w nim było. Małe dziecię, a prawdę u innych wzbudzało. Czarni wszystko musieli pod swym okiem trzymać. Słowian mnożyli, bo gdy ludu więcej, to słabszy, mniej widzi i rozumieć przestaje. Walkę łatwiej pobudzić. Uczyli, że gdzie lud zaczyna w siłę rosnąć, tam i władca potężny być musi i koronę posiadać, co potęgi, odwagi i majestatu dodaje. By władca wybrany godnie mógł przed bogiem stanąć. I ludzi mieć musi, co mu będą radzić.

Podstępny to czyn był, bo lud słuchał władcy, a wszystko dla niego by oddał. Dlatego samego władcę częstokroć bardziej na oku mieli. Tak było prościej, bo lud posłuszeństwo okazywał, nigdy sprzeciwem się nie skaził.

Mężczyzna winien był, wymysłem klechy kierowany, w siłę mięśni obrosnąć, a zbroję nosić, by móc się przed żołnierzami obronić, co z gniewu boga powstali. Kobieta winna być w tęsknocie za mężem pogrążona, dzieci swe nierzadko oddawać, by je na wojów wyszkolić.

W rodzinę klecha wszedł, kobiety mieć na pieczy. Mężczyźnie swej siły używać nakazał. Słuchać się go kobieta miała, prawa zapomnieć, dzieci wychować. Kobieta prawa w sobie czuła, lecz skrywać je musiała. Mękę wielką cierpiała, bo z rozdartym sercem chodziła i jak w więzieniu żyła. W głowie klechy myśl inna niż w jego słowach była. Wiedział, jak dziewkę zbałamucić, a jeszcze dobrze na tym wyjść. Musiał to robić, by krew zmieniać, harmonię w ciele zakłócić. Czarne dziewki, co mężczyzn jak opoki łamać umiały, dopiero później przyszły. By dzieła gnębienia zgody do końca dopilnować.

Niekiedy coś klechom nie wyszło, ale zawsze słowo swe puste umieli na wierzch wyłożyć. Mówili, że to nieważne, by Słowian zyskać, pozornie płakali nad klęskami, co je sami wpierw wywołali, niby ich tulili, by w nieszczęściu wspomóc. A jad żmii w nich narastał i narastał.

Wszystko, co ziemia dawała, Słowian było pracą. Teraz bóg zaczął owoce zsyłać i płody – ale mógł też zabijać i grabić. Był gniewny, a nikt go nie potrafił obaczyć. Wszystko po jego myśli układać się musiało.

Tak miało zostać do końca wieków. Człekowi, co o prawdę pytał, natychmiast dawali tłumaczenie, ale wykrętne. Część się zgadzała, a część fałszywą maską przykryta. W sprasowanej całości nikt nie odgadywał, że blizna jest pośrodku.

Przez wieki całe czarni lud Słowian niszczyli, by prawa do końca wyplenić. By myśl ożyć w człowieku nie mogła.

POPIEL

Ja, zrodzon Słowianinem, umarłem przeniewiercą.

Narody nasze żyły zgodnie, nakazem praw kierowane. Praca dawała radość, jako i bycie z drugim. Niezgoda obcą była. Tak biegło raniej.

Przyszli na ziemię naszą i Kruszwicę samą czarni kapłani od boga zajęli. Należało wyłożyć: co bóg i co kapłan. Nie znaliśmy tego. Podstępnie, powoli wmieszali się w nasze plemię. Wprzódy zadziwić chcieli tym, co wiedzą i co potrafią. Nie dziwne było Słowianom to, co czynili boskie imię sławiąc. Raniej samiśmy deszcz w suszę sprowadzać umieli. Jednako zmamieni władzą, wielkością, mocą boga, wolniutko traciliśmy rozeznanie. Zapuszczali obcy ciemnicy zasłonę na wiedzę w sobie ukrytą, niepomni na prawa i także na użytek z myśli. Słowianie miast łącza z myślą drugiego i swoją wzięli wszczepione przez przybysza słowa, co się mnożyły wielce. Nie słyszeli już siebie, nie rozumieli brata swego.

Bóg, wiara, wielkość zabiły człowieka. Z niego zrodził się taki, co zwać go trudno i nie ochota. Zaczął zabijać, truć, mordować, gnębić kobiety, wyśmiewać prostotę, jedność, naturę życia. Weszło w użycie, prawa wykluczając, pragnienie władzy i posiadania. Nie ma potrzeby – jest gromadzenie wszystkiego. JA muszę mieć więcej od sąsiada! Za dary dziękować bogu jakiemuś, co go nigdy nie widać, miast rozeznać, co sami sobie czynią i że nikt obcy im tego nie daje.

Puściwszy kolejne nitki wiązania ze sobą i praw czynienia, staliśmy się przeciwnością przodków Słowian. Patrzyliśmy tylko na siłę miecza siekącego każdego, co się napatoczył. Nie musiał być wrogiem. Smak wojaczki był znany i wracać miał często.

Dawnym Słowianom od praw szanowania dawno zbielały kości. Ich wnuki i młodsze klękają przed bogiem bez twarzy, dzięki zanoszą jak głupi, sieką bliźniego, krew przelewają, roznoszą przemoc i drwinę. Walki, władzy chcą i majątków. I za to dadzą się sami usiec. Życie ich zbrodnią. Prawa złamane. Ciała władają, myśl zabita. Ongiś nieznane, teraz w użyciu co dnia – cierpienie. Rozum pomieszan z lękiem krwią i szablą.

Podszept mroczny słyszę: rodzinę całą, sługi i bliskich trzeba rychło do boga wysłać. Nie wiedziałem, że zabić mam resztki słowiańskie w grodzie, ostatki myśli żywej.

Ja sam to robię za biesiadnym stołem. Krótki rozum nie myślał, co będzie, kiedy truciznę do jadła dawałem. Byłem w malignie. Jak oprzytomniałem – sam jeden zostałem żywy.

Strach wielki zstąpił na mnie przed karą bożą. Niepomny byłem do końca na złamane prawa. Niepomny na skutki, com przyczyny im dawał. Niepomny na głupotę, co mi ją zaszczepili za młodu, jako i serce do wojaczki krwawej, a z tego wywiodłem własne okrucieństwo. Zgubą to stało się moją.

Drzewiej wiedziałbym, co czynić trzeba. Teraz uciekać mi jeno w głowie. Zabijać siebie – nie – na tom za słaby i nie było to w zwyczaju. Żywotem ponurym pustelnika czyny podłe zmażę i już nikomu złego nie przysporzę.

KRAK

Ród Wiślan – twarda słowiańska natura. Wiecznie trzeba ich pilnować, by nie zapomnieli wojny i miecza. Zostawieni samopas na ziemi choćby i na lat pięć – spokojnieją, walka zamiera. Nie w głowie im wojna.

To ja, Wiślic, w germańskich uczon klasztorach, przyszedłem przynieść im walkę i władzę.

Ambicja to mój dar dla ludu leniwego, by nigdy już nie zaznał spokoju, by wiecznie szukał wroga i zabijał go, chcąc ukryć pustkę w sercu swym.

Władza – to moje trofeum obiecane mi przez preceptorów. Jeden z nich: Jach – przeor klasztoru w Czesiech, podlec nad podlece – złamał mnie i wiarę dał, że wielkim będę w walce. Czech nawiedzał klasztor raz na rok, Jachowi dał instrukcje. Był też Jacha pomocnik – on miał codziennie biczować mnie, by posłuszeństwa uczyć. Chłostał sumiennie od dziecka i rzekł, że będę wielkim człowiekiem. W codziennym bólu każdej nocy marzyłem o wielkich czynach, nie mogąc spać widziałem moc wrogów, co łby im obrzynam. I obraz ten pozwolił spać, myśląc o zemście.

Wiślic ja, choć nie z wiślickiej matki zrodzon. Wiślanem ojciec był, wiślickich braci miałem. Ojciec w niewolę czeską poszedł, matka z branek się wiodła. Ojca znaczny ród wyróżniał, bo konia miał i wołu, i grun-

tu kawał ogrodzon. Ziemi szmat schodził, wędrował z bursztyniarzami, a patrząc tu i tam zobaczył, jak grabić i grodzić. W niewolę wpadł w czasie kolejnej wyprawy.

Gdym dzieckiem był, w klasztor mnie wcisnął, mnichom majątek przekazał krwawy. Urżnął łeb panu i bratu jego, by zyskać denary do mojej wyprawy. Nie uciekł z nimi daleko. Pieniądze i mnie w klasztorze umieścił. Na palu dostał zapłatę.

W klasztorze tym dziesięć lat uczył mnie Jach i Czech (Jach Niemcem był). Uczyli mnie walkę wszczynać, szlachtować ludzi jak krowy. W szesnastej wiośnie poszedłem poznawać wojny rzemiosło – prowadził mnie Czech na wojnę, miecz ręka moja uniosła. I wojowanie ćwiczyłem od wiosny do jesieni. W zimie zaś Jach pracował, by umysł mój odmienić. Wpajał, że wojna ważna rzecz, rycerstwo to powinność, zabijać ludzi prosta sprawa i bóg mnie w tym podtrzyma.

Lata nauki minęły i przyszedł czas, bym zmieszał się z prostym ludem. Sześć miesiączków żyłem w osadzie, by zdobyć zaufanie. Potem uderzył na nas Czech; tak było ukartowane. Odtąd wiedzieli Słowianie już, że wojna nie przelewki, że zbroić się przyszedł czas. Miecz brały nawet dziewki. I szlim od osady do osady zbrojni, gotując się ku wojnie. A jeśli kto mi odpór dał, Czech go napadał orężnie. To była dla nich pewna śmierć, więc rosły moje zastępy. W końcu złapałem nawet tron, gdym kilka osad opętał. Oni mi dali imię Krak, bom chodził w czerń ubrany i czarne wizje im malował. Lecz miałem swój cel: prowadzić w bój liczne zastępy Słowian, dać poznać im – co ból, co strach i jak być bliżej boga. Od ziemi tej oderwać ich, gdzie latami żyli, zamknąć ich w gród, bym na zawsze mógł panować na tej ziemi.

WANDA

I przyszedł Niemiec do Kraka jak po swoje, i rzekł mu, że ziemia ta jemu tylko przypada. I więcej chciał – nie pracą, lecz orężem zbrojnym ziemię tę zdobyć i czynem nieprzystojnym. On zabił czterech braci mych i rzekł, że będzie królem, tylko jam winna ślubować mu, a ja się nie zgodziłam.

Słowianki matki mnie chowały. W czasie szaleństwa wojny one trzymały spokojny sen, by zapomnieć o zbrodni. Matka umarła wcześnie w czasie pożogi, gdy Czech najechał znów, by lud nie zapomniał trwogi. Słowiańskie matki śpiewały mi o czasach zamierzchłych, o spokoju i zgodzie, powtarzały: prosty człek nie stworzon tylko dla znoju. Wróciły mi pamięć praw i że człek nie powinien zabijać. Wiedziałam ja, że do czasu wiedzę tę muszę ukrywać.

I kiedy przyszedł do mnie Krak powiedzieć o śmierci braci i że poślubić Niemca mam, by ród królewski ocalić, wiedziałam, że skóry nie oddam łatwo.

Niemiec przyszedł gwałcić mnie i rzekł, że będzie niewolić mnie co noc, bo mam mu zrodzić syna. Nie rzekłam nic, wiedziałam, że lepiej mi już zginąć. Gdy tylko odszedł, skoczyłam w nurt rzeki.

I został Krak samotny w popiołach swego dzieła. Pytali woje go, co zechce teraz zdziałać. A Krak, jak ślepiec samotny, nie widział już przyszłości. Rozeszli się na rolę więc i tam zostawili kości. Młódź zapomniała tej historii wsłuchana w ziemi melodię. Lecz nie dano zapomnieć im o mieczu i sztuce obronnej.

PIAST KOŁODZIEJ

Pojawił się człowiek Piastem zwany i on właśnie, nikt inny, został opisany. A wszystko, co tu opisano, jak echo jest tylko, co długi czas po górach się obijało. Słowa szeptane i pieśni śpiewane, historie różne i podania szły przez lud.

I gdy człowiek odchodził, słowo trwało dalej, bo nikt nie mógł zatrzeć śladów pojawienia się Opiekuna.

* * *

Starym jest i ciało niedomaga, a choć oczy nie widzą już, prawie jasno spojrzeć dziś mogę wokół. Zmęczonym ciało me, ale i dzieła już dokonane są, a wysłużone członki prawie że zbyteczne.

Powołała mnie moc silniejsza niźli te, co są i nastąpią. Siła odwieczna wyłoniła mnie i uformowała, a zadanie me jasno zawsze pojmowałem i błędu nijak zrobić nie można było. To pewność, co gdzieś z piersi

sięga, i głos, co z wielu się składa. Jam jest tu tylko jak socha, co grunt pod ziarno przygotować musi i nic innego. Wiedziałem przecież, choć oczy me puste, to i widzieć mi było wolno, że lud, w którym ziarna prastare złożone, ochronić trzeba, by nie sczezł, boć innych kości w słońcu bielały. Dopuścić do tego nie mogłem. Plemiona zjednoczyć trzeba, waśni wszelkie zakończyć i choćby resztek tego, co w ludziach tli się jako iskierka prawdy, nie zgubić, bo na płaszczach czarnych choroba już bieży, nie tylko ciałem się żywiąc. Potrzebny jest opiekun, co ręce swe rozłoży i zagarnie ku sobie całości drobiny. Germanów trzeba się wystrzegać. Wciąż kręcą się i kręcą, żelazem wszędzie drogę wycinając.

Myśl, by zjednoczyć rodaków moc w jedno, to jest moje zadanie. A imię moje stanie się jak symbol, znak, każdy zaś, co moc ducha wielką w sobie znajdzie, mnie i innych usłyszy i dzieło będzie wiódł – bo nie zginąć wypada temu, co głęboko w ludziach mieni się kolorami najczystszymi. Syn mój dzieło powiedzie dalej. A syn to po myśli raczej niż po krwi. Ciało teraz jeszcze wiele nie znaczy i dużo ciał legnie. Coraz wieść niesie, że ludzie giną, kobiety w zniewolenie idą, a wszystko to, by ducha w ludziach zgnieść. Wytępić, by dzieło zniszczone ogarnąć mogło ciało puste, w niewoli zrodzone.

Jest krzyż, co ludzie strach przed nim mają, bo ze strachu i bólu stworzon. Jego jest władza i jego są tu ludzie. Roić się zaczyna od nich jak od robactwa. Są jak śliskie albo w żelazo ubrane zwierzęta, co żywią się cierpieniem i smutkiem. Ciężko z nimi być. A bacznie i ostrożnie przyglądać się trzeba, bo krew mają na szatach i zmywać jej wcale nie chcą, a łatwo im do żelaza sięgać. Słowa ich nie są słowami i słuchać ich nie wypada uszami ni sercem, bo słowami wojują jako i członkami.

To, com widział, straszne jest, bo ich dzieła trwałym piętnem ludzi znaczą i w jarzmo wprzęgają.

Teraz ciężko już jest całość utrzymać, bo i ten, co wczoraj był ci bratem, dziś pianę z ust toczy. Choroba straszna trawi nas od środka i wypala. Ni walczyć, ni poddać się. Uchodzi tylko wejrzenie ze świata na własną prawdę zostawić, by nic, co brudne, zmącić oczu ni uszu nie potrafiło.

Ogniska ojców są już zdeptane, a ludzi jako ciężary uczepiły się: smutek, ból, żal, gniew i złość. Trzeba jednak trzymać ten ogień, co w ludziach się pali, i do zatracenia go nie dopuścić.

Piast – to słowo opiekun znaczy; wielka to rozwaga i rola taka, że i nie może być czasu, by go nie nastało.

Ciemno się robi i głusza coraz większa, jakby w ziemię ziarno rzucone nią się nakryło. Z niego wyjdzie to, co nad ziemię znów wzrośnie. Ileż uratować można, by ni drzewce, ni żelazo wydobyć na zatracenie nie mogło. Wrogowie wokół zbrojni jak wilki, coraz bliżej podchodzą. Noc się zaczyna. Trawi mnie ogień, żar jakiś, co dech zapiera. Ból czuję dzieciom i kobietom zadawany. Okrutne to czasy. Trzeba dary ludów wydobyć i nimi się ochronić, trzeba wilka skórę nałożyć, by rozszarpanym nie zostać; taki czas i zadanie Piasta. Niech trzyma mocno i nie puści ni jednego człowieka, niechaj mu każdy drogi będzie, bo mu brat i dziad. Piast niech widzi, by skóra wilka w człowieka nie wrosła. Na to, co ukryte, niech baczy uważnie.

Ołtarza się wystrzegaj i pamiętaj o tym, że dwa oblicza ma on i wiele rzeczy mu podobnych.

Uchroń kobiety. W nich jest życie nowe i w nich wszystko ukryte, bo mocniejsze są niźli wszystko inne. Głupiec, kto na nie nie patrzy; ślepy. Jam tylko dzięki kobiecie widział i słyszał słów prawdziwe znaczenie.

Zbudować trzeba gniazdo, jedno wspólne, co siła ludzi zgromadzi; tam jest początek.

Pojawiać się zaczynają od wodnej strony nowi zbrojni, co rogi na głowach noszą, a wszyscy gdziekolwiek tylko spojrzysz krwi są złaknieni, jakby ich co pchało, a Człowieka wśród nich nie dojrzysz.

Ociągają się jeszcze i ból mi sprawiają ci, co dziś razem żyć powinni. Czy pojmą? Nawet myśleć tak nie można.

RZEPKA

Jam wszędzie tam, gdzie i Piast. Boć my razem tylko, osobno nic nie znaczymy. A w oczach mych widzenie, a w uszach słuch, jako i najmniejszej trawy poruszenie – a z ust mych słowa ciche, co w nim głosem się odbijają.

Myśmy jedno zawsze; nic tu słów opisy. Z jednej rzeki, z jednego głosu.

Dziś dzień jest, co łzy z oczu wyciska i ból wielki i większy coraz to przychodzi.

Czas taki, że czarne potoki dokoła; ziemia krzyk niesie, co kobiet jest jękiem i dzieciąt płaczem. Krew coraz to wsiąka z ciał mieczem rozciętych. Nie to jednak najgorsza trucizna, lecz nowy świat, co zwie się praw końcem, gniewem, bólem i gwałtem wszelkim.

Przed nim to trzeba plemiona ustrzec, razem je złączyć, choć nie zniewolić przecież.

Pojmuję, że taka jest moja rola – widzieć, jak dzieło to całe powstaje, jak rośnie i czego mu trzeba. Mych uszu nie zwiedzie żadne czcze gadanie ni twarzy uśmiechy, ni szczęk żelaza.

Jam jest, by kobiet przypomnieć powinność i zadbać o wszystko. A każda z kobiet przecież jest z ziemi tej jako i ja sama i w każdej ma cząstka, a ich części we mnie i tam ogień, co nie zgaszą go ni krzyż, ni inne pęta.

I we mnie jest radość, co ból wszelki śmierzy, boć wiem już na pewno, że to, cośmy uczynić mieli pospołu, żadną się ręką rozwieść nie da.

Bacz jeno, by gniazdo zawsze ciepłe było, bo ono tu rzeczy cały trzyma porządek.

Piast twarze dwie ma przecie, a jedna ta, co sprzed oczu zakryta widzi i słyszy przez serce; to zawsze kobieta.

Jak ciało człowieka, kość i mięso pospołu, gdzie twarde i miękkie rzeczy całość dają, tak my dwoje jedna jesteśmy istota. Jego powinność: trzymać na swych barkach i chronić twardością, i mocą swą kroczyć, a moja: nowy krok zobaczyć i wiatr słyszeć wokół, i szelest daleki, a widzieć dalej niż można.

Jest we mnie, co dziś w każdej ukryte, choć kiedyś jawne i jasne być musi i będzie.

Mnie umrzeć nie dane, bo kobieta żyć musi. Bez niej – pustka. I choć wdzięki me coraz to bledsze i ciało powoli usypia, to przecie ukryta jest w szatach kobiety prawdziwa istota. I tak w ciszy głos mój słychać, a nocy wzrok mój się nie lęka, bo ona na drodze mi stanąć nie może, a w środku gdzieś w piersiach taka pewność wielka, zdałoby się, że nieogarniona. Tam me ucho pierwej sięga i myśl stamtąd nicią się plecie.

MIESZKO I (?–992)

W ziemie spokojne i dzikie jeszcze wszedłem.

Tu mogłem być pierwszy. Tu pole dla mnie. Tu władza mnie czekała. Tylko ją brać. Siłą i sprytem rzecz jasna. A nie było to łatwe. I sporo trzeba mieczem nakroić a namachać.

Jeszcze ojciec mówili o władzy, jaka z niej słodycz. Tak mnie naznaczył: tylko o władzę warto się starać. W słowie swoim ostatnim jeszcze ją pieścił i do mnie przykładał. Całe swe życie dla niej sterał. Drogę do niej karczował. Życia mu nie starczyło, by ją objąć całą. Na mnie wszystko przełożył. Łza ze starczej twarzy mnie żegnała. Cała nadzieja jego na mnie spadła. Tak wystrzeliłem jak orzeł silny pragnieniem władzy, mocny w mieczu.

Ruszyłem w kraj. Zbierać go i łączyć ziemie łapczywie dla siebie. By na sile stać, siłą władać. Spieszyć się musiałem. Konkurentów miałem wielu. I wszystkim ziemie Słowian w oczy wchodziły. Gęste, żyzne ziemie, morzem opływały, wód, zwierza i skór dostatek. I pożreć by je chcieli. Jeno nie wiedzieli, jak się do tego zabrać. W oczy kole, co jeszcze nie twoje. I zda ci się, że skórę byś z każdego zdarł, kto ci broni tego dostać.

A wszędy tam już miejski porządek ustanowiony. Pola pozagradzane. Las wszystkich, ale strzeż się tego, co w nim poluje, a mieszka tam.

Panowie na swych ziemiach są niby wielcy. Ale jeszcze za słabi, jeszcze w nie nie wrośli. Zaspani jacyś. Borem zagłuszeni. Winem się chętnie grzeją. Czujności i sprytu nie mają. Ledwo od kmiecia odstoją. Słabo wciąż mieczem władają. A złoto, jadło i skóry im w głowach. O wiele więcej nie dbają.

Małe mogą mieć zagonki. Do większych włości, do władzy nad ziemiami rozległymi nie tęsknią. Trzeba taką słabiznę sklepać w siłę wielkością jedną. Bo inaczej każdy te państewka jak piórka rozdmuchnie i wejdzie tam swoje porządki wprowadzać.

I złączyłem je pod siłą. Państwo stanęło. I mnie się posłuch jak władcy należał. I chciałem, by tak trwało.

Ale z boku nie było spokoju. Niemiec czyhał, jak zwierza w pułapkę chciał zdobyć. Krzyżami i bogami chciał się posłużyć, podstępny. Umiałem rozczytać jego zamiary i ustrzec się niewoli. Mówili, że chrześcijańskie łono ich wydało. Ale to tylko droga do wielkości ich upragnionej była. Bo Rzym i bóg rządził światem, chrzest dla korzyści wzięli, jak i ja uczynić to musiałem.

Sam wziąć wolałem, niż gdyby mi ktoś w wojnie krzyż w gardło miał wsadzić. By nie wpuścić Niemca z kropidłem. Bo zaraz bratem młodszym, jak on z Kościoła zrodzonym by mnie nazwał i pod opiekę wziął. I pomagał chrzty prawić, i macki swe by rozstawił.

Tedy z Czech żonę i chrzest przyjąłem. A i tak krwawe ten chrzest ludowi rany zadał. Siłą spętanych i obitych Słowian do naznaczania wiarą prowadzili i wodą polewali. Z krwią im po twarzach spływała. Płacz się po Polsce rozlegał. Ludzie w gaje, swe miejsca spokoju, uciekali.

Krzyża i łask nie chcieli. Bóg im niestraszny, bo takiego nie znali.

Gnani strachem przed mieczem i batem byli. Lud to mój był – czy poganie? Sam już nie wiedziałem.

Oglądać tych kaźni przecież nie musiałem. Nie starali mi się o tym posłańcy opowiadać. Jeno chwała moja coraz głośniej wybrzmiewała. Na ustach posłańców papieża. Już klątwa papieska na królu pogańskim nie spocznie. I wielkość rosła. I do równości wielkich władców Europy coraz bliżej mi było. Sam pomogłem boski krzyż wprowadzić, stawiać świątynie, czcić stwórcę i jego posłańców. Zasługę mam wielką przed ludźmi, co tego jeszcze nie rozumieją.

Mnie korona się śniła. Wielkości władcy uznanego się chciało.

Zaparty lud topniał pod mieczem, krew wsiąkała w ziemię, kości próchniały, niewiasty w gumnach zamknięte. Chłopy na wojaczce, bo Niemiec nie popuścił. Pod zbroją złość zakrywał. Miecz mokry od krwi. Żarłocznie się w cudzą ziemię wbijał. Bitwa o wiary wniesienie trudna – bo żywe mózgi wziąć trzeba. Bóg chciał, by krwawym żelastwem ofiarę mu składać i hołdy z pogan martwych czynić.

Wiedziałem: mury warowne, grube trzeba stawiać, sąsiady za sprzymierzeńców mieć, siłę gromadzić.

Papież, zdało mi się, jeden w ryzach klątwy Niemca trzymał. Do niego poszedłem, na kolanach. W opiekę oddałem siebie i ziemię.

Przy nim musiałem mocno stać, by władzę utrzymać.

Nieważny lud i jego skamlenie. Musi przyjąć, co władca wyznaczył. Władca siłę dla państwa sposobi i strzeże go. A wiara w boga będzie mi

tego rękojmią. Wiarę lud ma więc przyjąć i przy kościele boskim będziem stać.

DOBRAWA (?–977)

Żywot wiodłam spokojny, pókim Mieszka nie spotkała
Przybyłam ja z krzyżem w pogański kraj
Choć ten krzyż był mi obcy
Wiedziałam, co wiara dla ludu oznacza
Wolność obraca w niewolę
Mieszko zgodny był z tym i niezgodny zarazem
Już zaczął był o chrzcie Polski swoje wywody
Ja nie wiedziałam, jakie dać dowody
Że jest w błędzie wielkim
Że sam siebie nie słucha
Miał on swych radców i doradców wielu
Co ich się słuchał, choć sam nie rozumiał
O klechach coraz głośniej było
Co to zbawić lud i na dobrą drogę wprowadzić mieli
Tym byłam zdziwiona wielce
Bo lud dobrze wiedział, co czynić ma za życia
Którędy kroczyć, czego słuchać i gdzie jadła szukać
Krzyży mnożyło się jak grzybów po deszczu
Świętymi je nazwali
Dobrego przynieść nam wiele miały
Byłam ja jednak z tych rozmów myślami wydarta
Bom czuła, że ludowi z harmonią życia
Przyjdzie się pożegnać
Ci czarni, co Mieszkowi o bogu kadzili
Obiecali szczęście wieczne i bogactwo w niebiosach
Lud miał przez chrzest uwierzyć w boga jedynego
Oddając się w posłuszeństwo jego wysłannikom
Wnosząc wciąż swe dobra i owoce ziemi
Bliżej, coraz bliżej boga być mieli
Mieszko uparty stał się, siebie już nie słuchał

Chciał jeno chrztu Polski
Wciskając w ludzi boga, żąda ślepej wiary
Co chorobą tej ziemi niebawem się stanie
I rozprzestrzeniać się będzie wszędzie coraz dalej
Szukałam sposobu, by udzielić Mieszkowi
Wiedzy, którą miałam
Lecz on zamknięty, głuche miał ucho
Na duszy mojej mówienie
W dzień, gdy chrzest wszedł w Polski życie
Było tłoczno, ludu wiele
Lecz ci niewesołe lica mieli
A i mnie ręce po kolana opadły
Żem nie mogła nic uczynić, nim ostatnie decyzje zapadły
Stałam przy Mieszku jako woda w stawie
Nieruchliwa, bez życia w ten dzień dla nas zgubny
Czułam to jarzmo wielkimi krokami nadchodzące

Chrzest Polski zabrał nam wolność
Dając władzę Kościołowi
Ten – poznawszy jej smak
Rósł w potęgę
Mieszko spostrzegł, do czego się przyczynił
Że lud swój wielce skrzywdził
Zabrawszy mu wolność, zabrawszy swobodę myślenia
Założył kajdany z wiary poczęte
Państwo polskie za święte po chrzcie uznano
Myśli i Praw zakazano.

ŚW. WOJCIECH (956–997)

Ojciec, co mnie spłodził, panem był wielkim. Ale następcą mnie nie mógł uczynić. Sam o władzę się bił. I we mnie władzy tkwiło umiłowanie.

Ja przy Kościele stanąłem. Tam władza pewna. Choć jak kopalni złota pilnować jej trzeba. Masz ją od tego, żeś mnich.

Jeśliś zapobiegliwy, twoje starania zawsze są wynagradzane. Ciężka to praca: władania pilnować.

Wszędzie trzeba mieć baczenie. By żyła złota, co raz popłynęła z nadaniem władzy, siecią gęstą oplotła wszystką ziemię i ludzi. Każdy swe dobra, swą pracę i pokłony miał mi oddawać. A jam spijał te soki życia. Czujesz, jaką słodyczą cię napełniają. Czujesz, żeś wielki, silniejszy i lepszy – wybrany. I takie się to czucie niezbędne staje, że zabić możesz, by cię jeno tego nie pozbawiać. Dobra wszelakie, złoto, klejnoty, trunki przednie stają się jeno oprawą do władzy pełnienia konieczną.

Śluby me bogu złożyłem. Wiedziałem, co robię. Kościół moją nadzieją. On władzę trzymał.

Kościół ponad królami. To oni ginęli, trony zdobywali, dynastie się wyrzynały, a my bezpiecznie chodziliśmy nad ich głowami. Zbieraliśmy hołdy dla majestatu sług boga. Pewni władzy, co od boga nam przydana, nie podlegała nikomu. Mogłem błogosławić, wyklinać – władcami rządzić. Bóg zwyciężał, a my w imię jego odbieraliśmy cześć i złoto.

W Rzymie sieci władzy się zbiegają i znów rozbiegają się po świecie, by przynieść bogu żniwo wiary, a nam, biskupom jego, bogactwo złota.

Tam się z Ottonem spotkałem. Wielkie on wpływy miał. Całą Europą potrząsał. Znajomość nasza bardzo po mojej myśli wypadła. Wielkim zaufaniem dla moich umiejętności mnie obdarzył i wiele pełnomocnictw nadał. Władzy jego i wpływów miałem strzec. I rozszerzać w miejsca jeszcze nią nie tknięte lub oporne. Długo w Rzymie nie stałem.

Ruszyłem tedy w ziemie pruskich pogan. Nawracać, wielkości boga uczyć. Wiarę ogniem na upartych ciałach wypalać trzeba było. Oczy obrzękłe od płaczu i zmęczenia, ucieczką nieprzytomne, na boga musiałem otwierać. Mieczem tępych kosić. Krzyże w ich miejscach świętych wbijać. Msze dziękczynne za wiarę odprawiać, modły wznosić i mirrą Panu kadzić.

Nic to, że nie chcieli. Prośbą miejsc tych bronili. Kobiety, dzieci i starców oszczędzać jęczeli. Na nic to im się zdało. Potęga Kościoła rosnąć musiała. Żaden kmieć stanąć na tej drodze nie mógł.

Aż zabili mnie jak intruza, jak psa najgorszego zostawili. Zemstą za ich upór śmierć moja nagła się okazała.

Świątynie powstały wielkie i kult misji moich dla boga się rozwinął. A w miejscu, gdziem padł bez życia, wielkie hordy pomścić mnie przyszły. Krzyż na wieki całe nad tymi ziemiami miał stać i karki pogan przede mną zginać...

BEZPRYM (986–1031)

Rok władzy mej obfity był w wydarzenia ważne dla mnie i dla rodu Polan. Na tron wróciłem do krain gnieźnieńskich, wprzódy wyrzucony. Brat uległ mym siłom i ziemię tracił.

Choć sam wkupiony w Niemca, sidła na Mieszka stawiałem. Niemiec mnie poparł, co zwał się Otto, i z jego siłą poszedłem na Poznań i na Gniezno, Głogów przedtem zdobywszy.

Lud mnie witał, choć z wrogiem przyszedłem. On we mnie dziedzica poznał.

Biskupi swe czapy schylili, a ja im wiary nie dałem. Bo po cóż ja miałem sprzedawczych psów słuchać. Mnie obiecywali godności wielkie, bym im pańszczyznę sprzedał. Nie zgodziłem się.

Gdy mnie podarkiem nie kupili, bunt na króla wszczęli, co mi dał powód do walki. Niemca wziąłem, Polan wziąłem i najechałem Łęcza; gdy w grodach się walki zaczęły, biskupa wielkiego wygnałem. Kraków takoż padł. I wielmoża też uciekł mówiąc mi, żem oszalał. Lecz ja wraz z nimi Niemca z łupem klasztornym odesłałem i wici po kraju puściłem. I woj się stawił, mą rolę uznał i przysiągł mi wierność nad Gopłem. I teraz zacząłem wieńczyć swe dzieło ratunku słowiańskiej wolności.

Pieczęcie schowałem, koronę, berło i symbol królewskiej władzy w kufer na wóz załadowałem i w ręce cesarza posłałem.

Lud się radował, a ja pozwoliłem krzyże i kościoły palić.

Ruszyły tryby, których nie mogłem sam zatrzymać. Cesarz i papież za kilka dni mi przysłali od gońca swoje wieści. A listy te pełne były obelg i gróźb.

Papież pieniędzy z Polski nie dostał, a to było wielkim zmartwieniem. Lecz jego się głos złamał, gdy o mordzie usłyszał księży. Biskupi uciekli, bo słuchali mej mądrej przestrogi i w Marchii schronienie dostali, w Budziszynie stanęli.

Lecz jeden biskup z Płocka swej ziemi nie ostawił i został, by wiedzieć, co się na polskiej ziemi dzieje. Swą władzę tam oparł i nie mogłem go z grodu wygnać. Choć go oblegałem, on straży nie zdjął i kazał mi puścić gońca do papiestwa. Ja głupi byłem i pozwoliłem o polskim zdarzeniu pisać. Wieści nadchodziły o częstym mordzie księży i kasztelanów.

Lud przypomniał sobie krzywdę wyrządzoną przez ojca i dziada. Broń chwyciwszy mnichów wielu zarąbał. Wiślanie i ludy znad Odry, co rzadko księży ubijali, wszystkich na wozy pakowali i ku Niemcom pognali, by tam stawiali swe krzyże.

Widziałem znów zagrody wolne i Słowian, co Swojżyca ciosali. Lecz oni w pokoju żyli, a ja w strachu spałem.

Gdy lud o krzyżu zapomniał, to rzucił też króla przywilej. W chatach zwykłych ostaliśmy, zamki sterczały puste. Wieść poszła o mym szaleństwie i dotarła do ucha cesarza. Listy mi słali, bym im bogactwo obiecane dał. Moja odpowiedź wracała: krzyż złamany. Przerażała mnie wojna, lękałem się siły pogaństwa.

Rozpoczęły się zjazdy czeladzi. O pokój ich prosiłem. W Gnieźnie zebrałem lud i powiedziałem o groźbie wojny i bogu. Czeladź nie słuchała i na me pojednania słowa do dom się rozeszła w milczeniu ostrzyć groty. Wiarę we mnie stracili.

Lud o ducha rzuceniu mym prawił. Ja nie słyszałem, bo strach mi mętlił oczy. Zakończyć wojnę trzeba było i ugodę z księdzem zawrzeć. Papieżowi ufałem, w cesarską wierzyłem mądrość i chciałem pokoju dla ludu.

Cesarz wojną groził i wojsko zebrał w Marchii. Biskupi za nim stali i mnie zaprosili. Przyjechał biskup wielki do Gniezna i do wieczerzy ze mną zasiadł. Mnie do wiary i bogactwa namawiał, bym zostawił wiarę ludu. Że mnie z bratem dalej pogodzą i z cesarzem sprzyjaźnią.

I jego słowa nie przemawiały do mnie. Ugody podpisać nie chciałem. Jedynie o pokoju dla ludu mówiłem. Lecz on krainę Polan pogaństwa siedliskiem zwał. Na nic były dyskusje i jego mowy, on nie ustąpił, a ja nie podpisałem.

W noc letnią na zamku mnie otruli i tej nocy ciało w Gople utonęło. Moja śmierć im drogę otwarła. Na mnie już wyrok wcześniej wydano, a śmierć ta była pieczęcią.

Wielmoże dokumenty spisali i Mieszko na tron wrócił. Korony nie dostał, kraj w nędzę i wojnę wpuścił. Pogaństwo długo jeszcze walczyło z Mieszkiem, Kazimierzem i Bolesławem, lecz krzyży coraz więcej i coraz więcej mogił.

Wyklęli mnie biskupi i naród mnie wyklął, że czoła biskupom nie stawiłem.

MASŁAW (?–1047)

Masław był księciem. Ludu, ziemi i wszelkiego dobytku prawdziwym opiekunem. Nigdy nie poniechał potrzebującego. Hojną ręką i radami wspierał. Bronił jak siebie. Przyglądał się, jak ziemia rodziła. I ręce jak trzeba umiał w nią włożyć. Baczył na człeka, czy syty i odziany dostatnio. Ilu synów i ile córek piastować przychodzi. Wszystko ogarniał myślą poczciwą i skorą.

A czas zawieruchy przyszedł. Broń była często potrzebna i szczęk żelaza się niósł.

Obcy ściągali ze wszech stron. Nie do pomocy czy po radę. Nakazem i batem dzielić się kazali – wszystkim, co było od ziemi i ludzi prostych, zgodnych i umiejętnych w łowieniu, zbieraniu czy uprawie. Ci nie znali, co znaczy nie dać. I dawali – sobie od ust odejmując.

Coraz to większe ciężary nosił Masław na sercu. Myśli gniotły głowę, tak że na bóle zapadał. Ciało rosłe i mocne gięła nieprawda i cierpienie, jakie siali ludzie obcy, bałamutni i opaśli. A w oczach im coś takiego świdrowało, że znieść się tego nie dało zbyt długo. Klechami ich przezwał lud. W klasztorach na wzór warowni się zamykali. I jak zwierz drapieżny na łowy tylko wypadali.

Tym, co przez boga nie wybrani, przyszły dzień radość z twarzy odejmował. Ręce bolały. Słabli jak od zdechłego powietrza. Świętą wolą katów w czerni rąbani.

Aż na to wszystko opór zaczął kipieć pod skórą. Nijak nie mógł pojąć Masław, jak ziemię tak doić można. I łono jej jak kobiecie naciągać w torturze. Chłopom prostym gardła karą jak postronkiem spięli. Kara to była większa, niż oczy mogły przewidzieć. Masław nie pojmował, jak można na duszę wieczne cierpienie nałożyć.

Kobieta, co jej śpiewu słuchać lubił, a widzeniem i łożem swoim się z nim dzieliła, smutną pieśń mu zagadała. O potworze, co mackami oblepiał i ludzi, i ziemię. W uczcie swej krwawej ich rozdzierał, tak że krzyk się wyrywał i pieśni tłumione cichły.

Aż Masław pierś podniósł jakoby zbudzony. Stanął zbrojnie, sumieniem jak ostrzem pchnięty. Dość było udręki, krzywd i kłamstwa ołtarzy. Dość klechów ponurych naszło w grody i knieje. Osiedli jak pijawki do

żywego przyssane, poddaństwo czyniąc wśród uległych kmieci. Ruszyło gromem Mazowsze. Masław prowadził.

I tak spłynęła krew potwora. Płonęły pustelnie, kościoły, kaźnie dla niewiernych. Roztarli kłamstwo zdradzające człowieka, a sławiące boga, co przerósł naturę. Tak broniła się ona przed tym, co nie istnieje, a treścią życia ogłoszone.

* * *

...Mazowsze to wielka ziemia. Ziemia moich rodów i dziadów. Moja matka. A matki się nie sprzedaje. Ja nigdy jej nie sprzedałem. Sprzedali ją synowie moi po śmierci mej.

Całe życie walczyłem, by władza króla tej ziemi nie sięgała. Bo król – to religia i śmierć rodów. Na Mazowszu starszyzna pilnowała władzy i rodów życia. Był to ród zwarty, solidarny i żywy. Ja na jego czele stałem, gdym już dorosnął, i wtedy wiedziałem, że trzeba będzie strzec się wroga.

Z lat dziecięcych pamiętam wojny mych dziadów i ojców nad rzeką. Ojcowie tam ginęli. Mieszko ze zbrojnym wojem fosy i rzeki chciał przebyć, by całą posiąść ziemię. Lecz rzeka mych przodków przed najazdem królów broniła. Chroniła przed królem, krzyżem i niewolą. Niejeden raz Bolesław za młodu z ojcem i Niemcem mą ziemię najeżdżał i gromił osady. Lecz na rzece zawsze stawał i bał się jej drugiej strony.

Na Mazowszu trwała zgoda i rodziny sobie pomagały. Lecz lata nie było, by ziemi naszej obcy lud nie najechał.

Bolesław w roku dwudziestym przez rzekę się przeprawił. Lecz jego konie szybko się w bagnach topiły i księcia ni woja Mazowsza nie ujrzał i wracał z pustą kiesą do Gniezna.

Co roku prawie, gdy woda mała, z północy Jaćwing przybywał. I nie chciał on ziemi, lecz kobiety i zboża wziąć na bagna. Lecz często z niczym wracał samotny po walce z leśnikami. Na kraj ze wschodu Litwini nastawali, grabili, ale nigdy nikogo nie zabijali.

I tak się toczył los nasz pomiędzy wojną i grabieżą.

Choć lud był spokojny, to czas przyszedł, że ja – choć młody – wodzem zostałem i zobaczyłem dzieło Mieszka, Bolesława i Litwina. Kraj zniszczono, osady spalono, a lud pozostawał ranny i słaby. Bolesław wkroczył; czas nadszedł jego i jego korony. Starszyzna przyjechała i ja z nią, a on

śmiał się z mego poddaństwa. Pluł na starszyznę, pluł na posągi. Poznałem, że obcy to człowiek.

Mazowsze nigdy nikogo nie było, tylko rodu i jego życia.

I tak się zaczęło me panowanie, choć z Bolesławem byłem związany. Starszych pytałem, co najważniejsze dla rodu i dla ziemi. Mówili, bym się z dala trzymał od Gniezna i jego królów. Czas nastał, że Bolesław umarł i ożyły stare myśli. Lecz Mieszko szybko przy rzece nogę postawił i znów nam przyszło władzy króla słuchać. Na rubieżach wojów ostawił, by Jaćwinga i Litwina nie wpuścić i lud Mazowsza do boga przekonać.

W Płocku biskupa nadali, a on ziemię i lud nawracał. Lecz miał daleko i nie przysyłał dużo klechów. Lud się oburzył, mnie wciąż wołał. Choć miałem drużynę wielką, nie mogłem nic ludowi dać. I rosła moc we mnie, by lud i ziemię ratować. I tak się stało. Mieszko upadał. Tracił ziemię i tracił plemiona. Nie słuchał ludu i starszyzny; szybko ruszyły rody. Polanin się kruszył, Wiślanin był już wojował, a z nim Pomorzanin. Gdy ludy ruszyły skrwawione krzyżem, ja Mazowsze podniosłem. Czeladź stanęła, kościoły padły, a Bezprym objął władzę.

Już coś widziałem; młody nie byłem; powrót królów uznałem za pewny. Słów Bezpryma nie kupiłem, lecz ród odzyskał wolność. I czas się zaczął palenia kościołów i krzyży. Lud postawił posągi i stare przywrócił zwyczaje. Bezprym padł i wrócili króle przez historię zapomnieni.

To czas dało i siłę, by rodziny i Mazowsze Polsce odebrać, by mogło żyć swym losem. I tak się stało. Mazowsze własnym się losem rządziło, co przepowiedziała starszyzna. Tak się zaczęło wznoszenie grodów starych. Rody słowiańskie złapały dech i poczuły się znów wolne. Niedługo.

Syn Kazimierz wrócił. I z Niemca pomocą ponownie kraj zaczął budować. Siedem lat ród żył w pokoju i to było jedynym mym szczęściem – rodu żyjącego w niewoli. Choć raz młody ród poznał to, co mu starszyzna prawiła.

Książę przebył rzekę, lasy, tępił osady i przez rok Mazowszan zabijał. Rok był to cierpień, które nam dały spokój na dwa wieki. Kazimierz wracając Mazowsze swym lennem uczynił i kazał rok w rok płacić.

Poleciały głowy. Moja też.

Lecz kraj mój miał swobodę. Nie stawiał krzyży, bogu przestał się kłaniać. Kraj ten stał się domem wielu, co za wolnością do krainy trafili, gdzie opiekę i spokój mieli.

KAZIMIERZ ODNOWICIEL (1016–1058)

Odnowić monarchię w Polsce miałem. Odnowić siłę Kościoła. Odnowić – duże słowo. Znaczy to: wybić lud oporny z pomocą cesarskich wojów.

Synem Mieszka byłem, mieszkałem na cesarskim dworze. Uciekłem z Polski, gdy Masław zaczął pogańską rebelię. Płonęły krzyże, płonęły kościoły, ginęli księża. Ci, co nieść mieli misję Kościoła – zazdrość, intrygę, zdradę, walkę nieśli – od własnej ginęli broni. Z każdym Masława ruchem traciłem władzę i moc. Słowianie do skrytobójstwa na mnie się szykowali; bo już się tego od czarnych nauczyli. Zginąć mogłem z nimi, bo to, żem przez boga namaszczon, było tylko przeznaczone dla tych, co nie chcieli widzieć, jaka ma prawdziwa rola. Że kler wprowadzam, naród niszczę, łamię dla kaprysu władzy. Że gotów jestem wybić lud, kiedy nie spełni przepisu. Tak mnie uczono, tak rodzic kazał i taka ma była rola. Wiedziałem dobrze, że Kościół władzę zapewnia. Że jeno Kościoła krzyż i miecz dzieli i władzę nad Polaninem daje.

Musiałem między Polan wrócić; tylko tam mogłem być władcą. Dla królów Europy byłem nikim, co żyje w puszczy wśród zwierząt. A wychowałem się na dworze wśród intryg, wśród zabitych jęku, w zapachu krwi i trucizny. Żadne mi zboże nie pachnie tak, jak zapach lęku poddanych.

Odszedłem więc na dwór cesarza – bo on dla nas prawdziwym przyjacielem; tak mi rzekł ojciec.

Cesarz mnie wyśmiał. Powiedział, że poganie jak psa mnie wypędzili i długo o pomoc prosić się dał w tej trudnej dla mnie chwili. Warunków mi postawił moc – że mam być twardy i mocny, buntowników wyciąć w pień, najlepiej pod osłoną nocy. Nocą miał być nieprawdy cień powstały wśród pisarzy. Opisać mieli zdarzenia te, by trudno było prawdę dojrzeć.

Kościołów budować miałem moc, stawiać kolejne kasztele tak, by nigdy już nie odrosła stugłowa hydra pogaństwa.

Podatki mieli mi płacić, a ja Niemcom tajne lenno przekazać miałem za to, że teraz cesarz pomógł mi bunt pogański stłumić. Prawili mi, że pieniądz to podstawa wszelkiej władzy, że gdy go nie ma, kruszec dać miał; wtedy nie będzie skory do buntu. I rzekł mi cesarz, że gdy rady nie dam, to śmierć mnie czeka szybko. I taki zawarliśmy pakt: śmierć albo panowanie.

Pokłoniłem się cesarzowi, wojska zebrałem liczne i mogłem już iść na wojnę. Wskazali mi, jak bić się mam, jakich sposobów użyć, bym Słowian nawet zza bram zawsze zdołał wykurzyć.

Zacząłem jatkę krwawą. Masława własną ręką bym zabił, lecz woj mnie wyprzedził dzielny.

I szliśmy przez kraj, krwawe zbierając żniwo. Przed nami szpiedzy w każde zajrzeli sioło. Gdy nie wrócili, był to znak, że większe siły trzeba zebrać, bo rozgorzał tam prawdziwie pogański bunt.

Każdy mój ruch śledził woj, co miał historię opisać, a wiem, że pisma do cesarza słał, był jego uchem i okiem. Gdy cesarzowi coś nie w smak, zawsze słał posłańców. Wiedziałem, że w jednej ręce niósł on list, a w drugiej sztylet, gdybym listu słuchać nie chciał.

Odnowicielem mnie nazwali – to przez ironię chyba. Byłem tylko Kościoła ręką. Wyciąłem w pień kraju pół, świątyń moc zbudowałem, starostwa ustanowiłem nad kasztelanem, by i jego ktoś pilnował...

BOLESŁAW II ŚMIAŁY (1040–1081)

Z bożej woli i łaski sprawować przyszło mi rządy na tych ziemiach, co krwią zbroczone były. Lud prosty i pracowity trudził się w mozole, by uchować wiarę i tradycję swych przodków, com cnocie jego przypisywał, bo spokojny był i do rozboju nieskory. Stateczność w dni pokoju i odwaga, gdy oręż przyszło w dłoń ująć, największą jego okazywały się zaletą.

Ceniłem ich prawość i ten szczególny rodzaj przywiązania do ziemi, na której zostali zrodzeni. Chroniłem lud mój przed chciwością możnowładców świeckich. Przed tymi, co najgorszą sławę mieli, a cnót lukrem usta posmarowane – klechami, duchownymi w zaborczej zachłanności niczym nie poskromionymi. Lecz i na to lud skromny przystać był gotów, gdyby żądza papieska nie stała się jeszcze większa. Kościół pragnął powiększyć bezmiar swych dóbr doczesnych, bardziej nawet na nie zachłanny niż na zastępy wiernych. Nawracanie wymówką było zaledwie, by zaży-

wać jadła i dobrobytu przy cudzym stole, pod cudzą powałą, paść się zuchwale na ludzkim cierpieniu.

W wojnie dziewka mi towarzyszyła. Imię jej Lena. Była córką litewskiego kniazia. Chociaż siłą zabrana, nienawiści do mnie nie czuła.

Miała moc zaklętą w sobie. Dawała mi ciszę. W jej byciu i spokoju siebie odnaleźć mogłem.

Zawistne głowy zrozumieć jej nie mogły. Ja w niej światło widziałem. Bali się jej i mnie połączonych razem. Tego żywiołu nie mogli zostawić, boby ich na pogańskiej ziemi zniszczył. Wygnać z kraju księży chciałem i ludziom wiarę w siebie przywrócić. Ona mi sił dodawała, rozumienie pomnażała.

Kobieta ta słała mi myśli, bym mógł im życie dać: jak skończyć wojnę i ludzi pogodzić. Widziała w Kościele zło niepojęte, nad którym trzeba zapanować.

Sam wychowałem się w wierze w boga, lecz w jego istnienie wątpiłem. Widziałem kapłanów i życie ich zgniłe. Wiedzieli, że słowiański lud silny i ducha z siebie nie odda. Ani miecz, ani złota szata prostego narodu na drogę Chrystusa zwieść nie mogą. Widziałem, jak siłą chrzczono. Jak obcinano palce za Światowita i Swojżyca. Zrozumieć tego nie mogłem – jak człowiek, który miłość ma nieść ludziom, ręce odrąbał. Sam chrzczony, lecz wiary takiej zrozumieć nijak nie mogłem.

Zmiany tego pragnąłem, lecz wiedzy nie miałem. A czułem moc, by klechów przegnać. Dziewka spokojna miarkowała me trwogi i zapędy.

Prostotą i pokorą swej duszy o własnej myśli mówiła. Radziła, bym listy do Wielkiego Ojca słał i z nim rozmawiał.

On nie chciał słuchać przybłędy z Polski, który dobrze łaciną nie władał i złotych szat nie nosił. To był cios. Wiara w Kościół ze mnie odeszła. Wielki Ojciec mnie nie wysłuchał, to ja słuchać też go nie chciałem. Patrzyłem na klasztorne krwiopijce, którzy tylko pieniądz zbierać, jeść i młode dziewki uwodzić chcieli, a i zabić brata mogli. Choć głodni, sami chleba nie upieką i na dzika nie zapolują. Lud był gotów ich pozabijać, ale nie chciałem krwi, bo krew ta nic by nie dała. Przyszliby nowi z Włoch i Francji.

Ludzie wiary obcej nie chcieli, a ja nie wiedziałem, co czynić, by kościelnych katów powstrzymać. Oni byli wielcy. Świątynią myśli ogłuszali i ludzi niewolili.

Ludzie chcieli tworzyć osady, a nie wsie, co na klasztory pracować miały. Opuszczali kościelne domy, by w puszczy nowe siedliska budować.

Swoich paziów w klasztory posłałem, by uczyli się tego, czego księża przeciw nam użyć chcieli. Wiara moja topniała. Patrzyłem na księże kłótnie, na tych, co do gardeł sobie o dziewki skakali.

Biskup Stanisław był inny, sprytniejszy niż wszyscy, byle władzę i bogactwo mieć, jad przeciw mnie toczył. Spowiednikiem został mej żony Judyty, przez Kościół wybranej. Przez nią na moje zamiary chciał mieć patrzenie. Syna Judyta mi dała, któregom miłował, i jam do niej miał przywiązanie. Judyta wszystko biskupowi jak na spowiedzi mówiła. Oczami jego zło w litewskiej dziewce widziała. Obie chciałem pogodzić, lecz chytry biskup nad niezgodą czuwał.

Stanisław zazdrościł mi Leny i nad wiedzą jej chciał zapanować. Mą żonę słowami oplótł i wciągnął w knucie plugawe. Gdybym był czujny i oczy otwarte miał, ich plany bym wytropił. A tak zbiry biskupa Lenę porwały, oprawcy w tajemne miejsce przenieśli, do wyznań przymusili. Lecz ona mówić im nie chciała.

Okaleczyli ją okrutnie, ledwie żywą wypuścili, bym mógł się jej cierpienia napatrzeć. Konając zakazała zemsty, lecz słów jej już nie słuchałem. Pospiesznie sąd zwołałem. Gdy wyrok zapadł, kat już czekał wypełnić swą powinność.

Przyszedł na mnie czas, bym kraj swój opuścił. Biskup Stanisław nie żył, ale inni biskupi knuli. Zostawiłem naród i władzę. Straciłem to, com budował przez lata. Wygnali mnie z kraju. Nie znalazłem siły w Gnieźnie i Krakowie, ruszyłem na południe. Za mną podążała Judyta z synem.

W klasztorze na Węgrzech dach znalazłem. Przeor uczył mego syna, jak władać myślą i bogactwa ludzi do siebie przyciągać. Mówił, że musimy mistykę i słowiańską prawdę połączyć. Syn oczy ludzi do siebie przyciągał, ciepłem swoim i mnie ogrzewał.

Potajemnie pisałem o wiedzy słowiańskiej – o kobiecie i mężczyźnie, o osadach i puszczy, o bogach, których już nie było. O starszyźnie i jednej myśli.

Swą wiedzę w dwóch księgach zapisałem. Pierwsza – to słowiańska opowieść o ich życiu. Druga – o mojej walce z klerem i bogiem, którego nie ma. Choć księgi chowałem, zakonnicy zwiedzieli się i księgi przejęli.

Widziałem palone po nocy me księgi, lecz część przechowana została. Poznali przez to mnie i mój naród.

Sam papież zabić mnie kazał.

BISKUP STANISŁAW (1030–1079)

Kanonikiem byłem. Wiarę Chrystusa w ludy ziem pogańskich wprowadzić chciałem. Kształcony w Padwie, podstawy mądrości bożej osiągnąłem. Wiedziałem, że bóg mnie słał, bym ludziom wiarę ofiarował. Ludy germańskie, celtyckie i bałkańskie Chrystusa bez większego oporu przyjmowały. Największa, słowiańska zaraza jej przyjąć nie chciała. Ileż rąk, nóg i głów na tej ziemi poleciało, a wiary brać nie chcieli.

Chociaż w Polsce chowany, z pochodzeniem ukrytym, nigdy Światowita pojąć nie mogłem. Oni go nie czcili, nie słali darów, tylko przy nim stali i nawet modłów nie pełnili. Życie strawiłem na tej zagadce, której sam papież nie umiał rozwiązać. Byłem u jego boku i widziałem, jak rośnie Kościoła władza. Dał mi ten lud nawrócić, a ja czynu tego chciałem dokonać. Wszystkie metody, które posiadłem, w słowiańskich grodach zawodziły.

Szaty i złoto nie mogły ich zwieść. Władza tylko nielicznym ważną była, a reszta w osadach ze starszyzną obcowała. Niepojęte – im na władzy nie zależało. Razem woja wybrali i wodzem niby królem mianowali. Gdyby nie klasztory, świecka władza raz ustanowiona byłaby tam po wsze czasy. Myśmy dbali, by króla z rodu mianować, a lud dla rodu tego obcym stać się miał. Klasztory i kościoły z mozołem budowane przez dwadzieścia lat płonęły w pogańskich buntach. Nie masz żadnego sposobu, by Słowian w kościoły zapędzić?

Królowie sprzedawać ziemi nie chcieli, bo ona ludu, a nie kleru była. Jedynie Mieszko dawał nam ziemię, na której w niewolę czeladź wprawiano. Lud dał się tylko mieczem omamić. Na dwunastu chłopów trzech zabijaliśmy, by ich siły pozbawić i przed Kościołem strach wzbudzić. Sam wielu obciąłem ręce i męskość odjąłem, by słowiańskich cech płodzić nie mogli.

Co za naród?

Kształciliśmy młode, piękne romańskie i germańskie dziewki, by intrygę i walkę w mężów słowiańskich wtłaczać. Dworskie panny chwacko do dzieła się zabrały.

Papież słał posiłki i hodowanych w Czechach olbrzymów przysyłał, co strzec porządku w Kościele mieli. Na słowiańską ziemię wszyscy szubrawcy Europy zjeżdżali. Sam ich opłacałem, by w grodach mord i gwałt siali.

Bolesław był inny. Takiego człowieka ni w Padwie, ni w Rzymie spotkać nie można.

Mądrość i siłę z ziemi wyciągał i niczym go złamać nie mogłem. Nadzieja wstąpiła, gdy Lenę przywiózł. Szatan była ta litewska dziewka. Od jej widoku krew w żyłach krzepła, a serce stawało. Bolesław brał siły nowe za jej sprawą.

Papież kazał dziewkę zabić, lecz wprzód przykazał wiedzę z niej wyciągnąć.

Król zaczął nowe osady budować i moich z trudem wychowanych dworaków w ręce ludu oddawać – strach i mnie obleciał o życie. Moje wszystkie plany padały. Wojowie w kniejach bez walki ginęli. Brać zakonna także ginęła i moje dzieło na wieki przepadało. Gasiłem pożary, ale wybuchały nowe.

Księża uciekali. Tłustym zakonnikom zabierali jedzenie. Tego już znieść nie mogłem. Biskupstwa w Gnieźnie, Poznaniu, Sandomierzu i Krakowie oblepione przez tłumy klechów były, którzy w głodzie schronienia szukali. Wpuszczałem ich, ale grody jeść im nie dały. Ładowne z jadłem wozy z Niemiec w błocie grzęzły.

Obudzona moc ludu ciążyła strasznie. Musiałem ją zniszczyć, w strachu i żalu utopić. A ja chciałem władzy. Judyta mi zawsze pokorna i pomocna była. Szybko plan uknułem, by dziewkę złapać i jej wiedzę pojąć. Porwana, w zamku do lochu wtrącona została.

Tylko jej krzyki słyszałem. Najpierw mówić z nią chciałem, lecz jej siła mi rozum odebrała.

Gwałciłem ją, biłem, upodliłem. Pozbawiłem oka, urody i wdzięku. I nic. Była chora, zmarznięta i głodna, a słowa mi nie rzekła.

Papież po miesiącu wypuścić kazał. Puszczona w lasach, by zwierzyna ją pożarła, cudem do króla dotarła.

Głupim był, żem zabić nie kazał. Ona wyżyła. Tej kobiety ni jej siły nie pojmę. Uciekałem, lecz Bolesław mnie znalazł, pod sąd postawił. I zatłuc nakazał. Tak się los dopełnił.

LENA (Krystyna – tzn. chrzczona)

Zwali mnie Lena. Lud mój prosty, ale niezgodę we krwi miał daną. Lubił grabić, kłócić i sąsiadów swoim najazdem niepokoić.

Żoną byłam woja, który tuż przy ojcu kniaziu najwyżej postawion. Lecz on kobietom godziwie żyć nie dał. Sam walki i wojny z bratem mym Witoldem szukał. Wiedziałam: wojna i grabież skończyć się muszą, a mnie nie pisane było żyć u boku zabijaki do końca swych dni. Matka ma mądrością się wyróżniała i swą wiedzę w mą głowę wkładała. Uczyła spokoju i pieśni śpiewała o ludach starych i ich życiu w harmonii. Uczyła słowa i myśli do mężów słać, by walki zaprzestali.

Mąż i brat słuchać mnie nie chcieli. Zabawę we mnie widzieli, a myśli me w większy chaos obrócić chcieli. Grabili Mazowszan, Prusów, Jaćwingów, ludy Żmudzi i Pieczyngów trzebili, a ich osady palili. Szła wieść o królu polskim, co władzę swą sprawiedliwą rozsiać musi.

Matka Ludmiła o mężu, który pradawną wiedzę Słowian zrozumie, mówiła. I ja wiedziałam – to ziścić się musi. Miałam sny i widziałam ludzi zgodnie żyjących i bez walki życie pędzących. Widziałam też ludzi z krzyżem do nas niebawem idących. Widziałam ich czerń i krew na rękach. Ich słowa były puste, a brzuchy napełnione więcej niż do syta. Mówiłam ojcu, bratu i mężowi, lecz oni jak słupy zaklęte z najazdów rezygnować nie chcieli. Nastał czas, że Witold i pod Kraków w swej wyprawie dotarł. Jam na Litwie była i dni liczyłam końca tej jatki.

Wrócili nieliczni, ranni i krwią płynący. Król Bolesław czeladź zebrał i z wojem i chłopem za Witoldem aż na samą Litwę pognał. Była

wojna i krew się lała. Słyszałam krzyki, gdy mężowie walkę zaczęli. Broniłam Bolesława, bo on wojny nie wszczynał.

Polacy mnie do branek wzięli, bo kobiety dla nich cenniejsze od wszystkich zdobyczy były. Bolesław mnie, córkę kniazia, wybrał i dar mego ducha się otworzył. Zobaczyłam sny swoje w życie wcielone. Król Bolesław – tak pisane było. On dobry człek i kobiety woli nigdy złamać się nie ważył.

W Gnieźnie mnie samą przy królu stawili. I znów widziałam czarne suknie, klasztory, krzyże, a pożogę i mordy, by ludzi na chrześcijan zwieść.

Król chciał, bym chrzczona była, a ja oporu nie dałam. Ale do kukły na krzyżu nigdy słowa w myśli rzec nie mogłam. Bolesław odważny i wielkie serce miał. Mówił, że wojny z Litwą nie pragnął i z żalem ją rozpoczął. Prawił o klechach i ich rozpadzie trawiącym, a ja tylko jego obawy rozmywałam i do nowych czynów skłaniałam. To, com wiedziała w myśli – mężowi nocą słałam, a i słowem w dniu pomogłam. On to czytał. On widział i brał siłę. Sama się dziwiłam, że mąż może z kobietą w zgodzie dom dzielić. Widziałam kler i biskupa Stanisława, co słowa swe w kościele plątał. Bał się mej i króla duszy.

Dwa lata u boku jegom była i życie takie bez zawiści do ludzi wiodłam. Kobiety tutejsze rad mych słuchały i dusze swe mocą własną zapełniać zaczęły. Jakby przeszłość wracała, jakby rodów słowiańskich sława odnawiać się poczęła. W pogańskim życiu więcej ducha było niż w suchych drzwiach kościoła. Dałam biskupowi radę, by z kraju uciekał, bo tu wiara w kręgi wraca. On się bał, knuć coś zaczynał, a jego myśli mnie dotykały.

Bolesław mną nigdy nie rządził, ale ja jego potrzebowałam, a on mnie. Mówił o zazdrości żony, która ją zżerała, a mnie niepojętą była. Me słowa krzyżem zaklinała.

Dzieci Bolesławowi nie dałam, los tak sprawił. Gdy kościoły płonęły, a rody odżyły, biskup porwał mnie. Słowa mego nie usłyszał ani wiedzy ze mnie nigdy nie dobył. Urody pozbawił, niechcianie zapłodnił i palce obciął.

Królowi zemsty zakazałam. On raz pierwszy posłuchać nie mógł i rady nie dał. Śmierć moja i biskupa całe dzieło na wieki w niepamięć włożyła.

WŁADYSŁAW HERMAN (1043–1102)

Rola moja była prosta. Nie robić nic. Prymu nie wodzić. Byłem tylko kluczem, którym otwierano potrzebne zamki. Taka rola mi odpowiadała. Nie musiałem podejmować decyzji żadnych, a o wszystkim wiedziałem.

Za bratem swoim nie przepadałem. On uosabiał te cechy, których mi brakowało – śmiałość, odwagę, zdrowie. To nas różniło. Wiadomość o spisku na jego życie nie przejęła mnie bardzo. Spiskowcom nie przeszkadzałem, a nawet podpowiedziałem to i owo. Walczył ze wszystkimi, to się doigrał. Śmiałość od intrygi go nie uchroniła.

W polityce trzymałem się tej strony, co władzę całą piastowała. Co Rzym miał do Polski? Władzę chciał przejąć i niezależnie ją dzierżyć. Swoich chciał ludzi posadzić na stołki, by dla niego służyli. Rządzącym i biskupom to nie odpowiadało. A co nam z tego? Morały, klątwy i intryga to broń, która ich władzy sprzyjała.

Sieciecha palatyna przy sobie miałem. W spisku udział zaznaczył. Z biskupem Stanisławem był w cichej zmowie. Ogromnie do gustu mi przypadł. Dążył do władzy i plany swe spełniał.

Urzekła mnie jego siła, co ludźmi kierować kazała. Kobiety go uwielbiały. Wiedział o tym i znał, jak z tego korzyść wywieść. W sytuacji każdej znaleźć się umiał, a i decyzje rychłe podjąć potrafił. To był przyjaciel, jakiego pragnąłem. Radą mi służył, jak wokół innych ustawiać.

Po śmierci brata, gdy księciem zostałem i syna już miałem, on z Węgier bratanka sprowadzić mi radził. Intrygę zawiązał i zginął syn brata mego. W sojuszu z cesarzem już byłem, gdyż polityka celom wspólnym sprzyjała. Po śmierci bratanka ludzie z żałoby wychodząc burzyć się poczęli. Sieciech dał radę wtedy, by spalić miasta i wioski, a wszyscy pod władzą się ugną. On wiedzę jakąś dziwną posiadał, co duszą mą owładnęła. Nie bał się on niczego. Życie i śmierć inne tajemnice dłoń posiadały. Odsuwał wszystkich, co w drogę wchodzili, a jam dekrety rozdawał.

Lecz gdy mych własnych synów zabić zamierzał, los się od niego odwrócił. Wygnany został, a jam wielką stratę odczuwał. Synom swym stawić czoła nie mogłem, za słaby byłem bez niego. Choroba mnie jakaś trawić poczęła i w mękach życie skończyłem.

ELŻBIETA ŁOKIETKÓWNA (1305–1380)

Ojciec mój Władysław uznania i swobody miał niewiele.
Rady wielebne mnichów ducha wspólnoty rozrywały
przeciw sobie iść kazały Polakom.
Rozmowy klechów słyszałam. Jak ojca wyszydzali.
Królestwo całe i nas jak pionki na szachownicy rozkładali.
Sam to chyba wiedział. Nie znajdując
jak się pozbyć tego wrzodu świętego.
Ogłuchł i oślepł na to.
W sprawy państwa uciekał, walki toczył, ziemie jednoczył.
Mnie skarbkiem nazywał i do tronu przyuczał.
Pozwalał przysłuchiwać się rozmowom swoim
z możnymi i kniaziami.
Brata mego ukochanego Kazimierza
jak mnie do siebie wołał
ojcostwa dla narodu i ziemi uczył.
Wszystko chciałam widzieć i słyszeć.
Jak mnie nie wołali, sama ucho wyciągałam
wiązałam myśli w całość.
Z tego widzę, jak mało nadziei w ojczyźnie
zmęczona – wolno podnosi się po walkach i grabieżach.
Dziatwa miast rosnąć w pokoju przy zgodzie i dostatku
wypatruje ojców, czy wrócą z bitew
i kto chleb przyniesie.
Na kolana ludziska rzucone. Krzyżem chłostane.
Nędzy się wyzbyć nie mogą.
Czech tylko patrzy, jak zabrać polską ziemię.
Krzyżak krew chłepce.
Same strachy nad nią.
A jeszcze ci, co pokój święty nieść mają
jak tylko się da, niełaską grożą
i strachem podszywają.
Blisko nas podeszli. Przy siołach, a także
w komnatach, w twierdzach i na krużgankach nam siedzą.
Zda się, że zawsze tak było

i wyjść już nie wyjdą.
Modlitwy pleść każą. Ja sama mam nimi głowę napchaną.
Z ojczyzny takiej wyszłam w bogactwo
i swobodę ziemi węgierskiej.
By u boku króla stanąć i koronę nosić.
Dwór dostatni i wielki – zda się
samo serce skarbca.
Władza nie tylko do parad
ale prawdziwym gromem dźwięczy na całą Europę.
W tym kraju wszystkim Piastom i Piastkom
schronienie i opierunek trzymam.
Każdy Polak wzgląd mój i opiekę w potrzebie znajdzie
i pierwszy jest nad innych.
Głos mój u króla zawsze przeważy.
Pięciu synów mu dałam
i ród jego stanął siłą.
Wszystkie dobra tej ziemi
jak zaplecze dla Polski
i swojej rodziny szykuję.
I przykładem jej stoję.
Nieraz dyplomatyką sama wyjść szukałam.
Myśl lotna i giętki język
bardziej człowiekowi przystoi
niż wyrżnąć się wzajemnie dla sprawy zamknięcia.
Inni się bili. A ja gdzie trzeba złotem sypałam
czy papieża wodziłam.
Tron i dobro Polski zawsze przede mną stały.
Mężowi, bratu i synowi radziłam.
Następców na tron jej sama chciałam wychować.
Wszyscy inni niegodni tej misji.
Tylko czyhają: sobie chwałę wziąć
a państwo ograbić i w obce puścić ręce.
– Męskich potomków nie starczyło.
Wnuczkę moją wbrew wszystkim ciężkim głowom
i zawistnym mnichom na tron polski wprowadziłam
i strzec go kazałam.

WŁADYSŁAW JAGIEŁŁO (1351–1434)

Trudny dla Litwy czas nastał. Trudnych wyborów dokonać trzeba, aby ziem ojców od zagłady bronić. Potęga czarnego krzyża zewsząd napiera; nijak nam już, rannym, wytrwać i bronić się nie uda. Przyjdzie mi przed krzyżem głowę ugiąć, aby innych krzyży potop powstrzymać. Przykre to mej osobie sposoby i nie w mojej zrodziły się głowie. Nie masz na to jednak rady, jeno w wilka skórę przebrać się i między stado wejść. Z polskim rodem w Chrystusa imieniu zbratać się musimy. Toć my z Polakami mimo krzyży i modlitw nowych jedno plemię i jedna rodzina. Co Polak uczynił – i nam czynić trzeba, a razem i w zgodzie sposobność znajdziemy, by odpór dać potędze Krzyżaka. Nie wytrwa już Litwa ranna w ojców wierze, ta droga już dla nas skończona. Widzę to jasno, choć serce się wzbrania przed sprawy takim obrotem. Jednak jestem kniaziem, moc mam włodarzyć, by naród od zguby niechybnej ratować.

Jam się trudu zgody budowania podjął i trwać będę w tym dziele, póki sił starczy. Moc przeszkód na drodze, knowania i intrygi najgorsze. Złe języki, jadem zatrute. Z każdego wołania idą, osądy najgorsze: „Jaki to król dla Polaków z kniazia. On z puszczy i z kniei, w skóry odziany. Do boru niech wraca dzikusom przewodzić".

Gorycz tę i jad strawić muszę. Na nic gniew i szamotanie. Me uszy i oczy otwarte. Przy Jadwidze, pani mojej, stoję. Nasza zgoda miła dla narodów. Zgody nic zburzyć nie może.

Zakonu rycerze knowania te czynią, chcą rozbić to, co już stworzone. Wielką im w gardłach kością unija narodów naszych stoi. Ruch po grodach a zamkach wielki. Z Malborka ślą szpiegów i rozkazy. W rycerstwa Zachodu oczach osobę mą upodlić chcą i umniejszyć. Me uszy i oczy otwarte. Rozsądku patrzenie sprawia, że te rzeczy jasne są dla mnie, jako na dłoni otwartej położone. I wiem, co czynić muszę. Zakon niechęć wielką do nas żywi, nienawiść odwieczną. Trzeba mi ją na wierzch wydobyć i wszystkim okazać.

Nastał czas w narodów przymierzu, by sił dostatek zebrać, sromotę ostatnią ciemięzcy zgotować. Ta Krzyżaków niechęć i wrogość jawna to sprzymierzeńcy planów moich. Po Polszcze i Litwie ruszyć trzeba, ludzi gotowić, siły zbierać. A głowy przeciwne, co jeszcze ich pełno i tu w Pol-

szcze, i w kraju rodzonym, w obliczu wroga strasznego – umilkną, skrzydła rozwinąć pozwolą.

A chwila jest jedna, jedyna. Duch narodów złączonych siłą naszą i zwycięstwa drogę toruje. Roztropnym być muszę, bo spieszyć się trzeba, Krzyżaków potęga wielka i nic, zda się, powstrzymać jej nie może. Nie masz już przy mnie Jadwigi. Ona pokój z Krzyżakami do końca trzymała. Jam się nie sprzeciwiał, bo czas zyskawszy, plany swe wcielać mogłem w życie i sposobów a środków szukać.

Teraz wojna już nieunikniona i wahać się nie mogę. Wszystko zda się składać dokoła. Jeno brat mój Witold, co na Litwie ostał, trapi mnie. Zakusy Zakonu, by między nas wejść i skłócić ze sobą, jasne są już i chyba wszyscy to widzą. Podłe to zwyczaje, ale takim to orężem walczą krzyża rycerze. Cesarstwo im sprzyja, wielu w bojaźni przed nimi tak karki swe ugięło, że prawdy oblicza nigdy nie ujrzą. W Koronie mam wrogów, a ci z nich najgorsi, co w służbie Najwyższego. W majestacie swym ziemskim rządzą Królestwem, co państwem jest w państwie i władzy potęgę buduje.

Jam tedy tutaj na ziemi, co z dawna ludu jednego ojczyznę stanowi, ostoją jest resztek starego porządku i ładu. Choć w nowym przebraniu, w krzyżowej koronie, ta ziemia się jedna ostanie. I stoczę tę walkę, by zgnieść krzyży czarnych okowy.

Już i Witold przy mnie. Działania w ukryciu kres bliski. Plan bitwy w mej głowie gotowy. Przemyślny on i przebiegły tak, jako siła, przeciw której go stawiam. Witoldowa armia z nami w polu stanie, a mimo niestatku oręża wojsko to bitne i karne, bo o ziemie swe walczyć będzie.

Jedyna to droga w boju krwawym łeb krzyżacki strącić, ugiąć Zakonu potęgę. Niech cały świat widzi, że jest siła i naród, co czoła swego przed nimi nie schyli.

Bitwa wygrana, lecz nie koniec walki. Na później przychodzi miecz odłożyć, choć lepiej by było dzieła dokończyć. Lecz obrót spraw taki, że baczenie większe na sprawy Królestwa dać muszę. Czas ów, nim się Zakon po klęsce podniesie, danym jest mi, by państw i narodów związek silniejszym uczynić.

ZBIGNIEW OLEŚNICKI (1389–1455)

Jużem u dworu. Teraz – aby bliżej króla, łaskę jego zaskarbić i zaufanie zdobyć. Sekretarzenia tajniki zgłębiam, a ileż z tej posady korzyści wycisnąć zdołam? Na ile lat to starczy, by żar wielki pragnienia władzy ugasić? Król moją nadzieją i u jego boku wielkość ma zabłyśnie. Tako w chwilach coraz częstszych czuję, że z władcą tym związek mój jest bliskim. I w snach postaci przedziwne wołają: „Do króla ty, on cię słuchał będzie". Strach i trwoga ogarnia, lecz ja strachem kierować się nie będę.

Ludzi prowadzić trzeba jak psy na postronku; trudna to sztuka. A im większa i zacniejsza głowa, tym misterniejszą pajęczynę utkać trzeba, zwierzynę prowadzić delikatnie, zwodzić, coby sama w sidła wlazła i więzienia nie dostrzegłszy z rąk oprawcy jadła.

Już mi do króla coraz bliżej. A i przychylność u niego dla mnie niekłamana. Tak głowy znamienite, koronowane, zawsze swych zaufanych i doradców miały. Opatrzność mnie zaś to zadanie wyznacza i ku niej prośby swe wznoszę, aby los przychylny planom moim zesłała.

Dziękować Panu, król mój już jest, to pewne. Z ramion go śmierci wyrwawszy, niepisaną przysięgą wdzięczności gom związał. Boć mąż to prawy, prosty w swej naturze, a już to wybawcy swemu dozgonną wdzięcznością odpłaci.

Jagiełło to mąż siły wielkiej, lecz wiary Chrystusowej w nim mało. A ludzi, co wiary tej w nich nie wskrzesisz, okiełznać niełacno. Jest synem Kościoła niedawno i nie ma on pana ponad sobą samym. Muszę ten spraw obrót przemienić. Kościoła mi trzeba pozycję umocnić, na jego się siłe wesprzeć i szczytów możliwych władzy sięgnąć. Bo Kościół jest ziemską Pana potęgą, a jam sługą jego. Z potęgi tej władza ogromna, a moc ona ma większą niźli wszystkie korony, bo duszami włada, i rządy te sprawować – moja to dziedzina.

Jam tedy sprawił, że króla dążenia, by Zakon wgnieść w ziemię, powieść się nie mogły. Wielokroć musiałem zapał jego studzić, sposoby inne doradzać, bacząc przy tym, by korzyść dla króla i konieczność wielką takiego działania przedstawić.

Gry to były misterne, przebiegłości pełne, bo Jagiełło, choć z Litwy był rodu, bystre miał baczenie i wiele rozumu. Jednak raz zwiedziony, częściej się dawał prowadzać i czujność jego była uśpiona. Mogłem więc celów swych skrzydła rozwijać. Kościoła w państwie potęgę umacniać. Silną władzę króla tłumić, bo taka zawżdy Kościołowi szkodą. Nieraz jeszczem spory z Krzyżakiem uciszał, czym zasługi wielkie dla Kościoła położyłem. Dla ich pamięci biskupi urząd objąłem, co sił mej władzy dodało i sposobności nowych. Czułem potęgę, co za plecami mymi stała. Jam był jej częścią znamienitą. Na wyżyny intrygi się wzniosłem. Nie było dla mnie człeka, który by się ugiąć nie dał, a tym, co karków nie ugięli, łamałem je siłą. Lecz nie siłą miecza, ale siłą przebiegłą, co rękami innych ciosy zadawała. Myśli inne dławiła, strach i rozpacz siała.

To wszystko przeszło, nie masz już Jagiełły. Ma moc gdzieś przepadła. Urzędy już życiu słodyczy nie dają. Czekam na swój koniec, we wspomnieniach błądząc o świetności przeszłej, o dniach blasku chwały.

WŁADYSŁAW OPOLCZYK (?–1401)

Byłem księciem, i to krwi rodów najprzedniejszych, prawie królewską koronę miałem, bo władzę taką sprawować mi było dane.

Władza w rękach jest jak sznurki – ciągniesz i ludzie się poruszają; wielka to moc. A ja – niczyjej jestem ziemi, bom żadnej nie pokochał. Gdybyś mi dał kraj daleki, to i tam bym poszedł. Stać najlepiej jest w cieniu, co cię z niego nie widać, ale łacno wtedy sprawić, by każde twoje słowo moc zmieniania posiadało. Jakże władzę zdobyć, jeśli nie przez waśnie, niesnaski wzajemne, krzywdy drobne. Trzeba wiedzieć, gdzie słowo wrzucić, by z niego plon wyrósł.

Duch Polski do innych niepodobny. Niby chrześcijański, ale nie uwierzysz w to, patrząc na nich. To lud prosty i szczery. Intrygą omamić go trudno. Mnie w ich kraju trzeba było jak w kotle zamieszać. Zdrady próbować, intrygi wszelakiej, by chęć władzy pobudzić, krew w żyłach chciwością rozgrzać, do walki pociągnąć, uwagę od spokoju, co ich przepełniał, odwrócić. Ja do chłopstwa się zniżać nie muszę. Wystarczy rycerstwo, herbowych poruszyć, herby im odkurzyć.

Zasługa moja wielka dla Kościoła została, bo klasztor, com postawił, masy całe skupił, królów pociągnął i naród ten hardy do krzyża uwiązał. Zbyt duża to potęga, by sama wzrastać miała. Za świeżo w niej chrześcijaństwo zasadzone, łatwo by je jak jaki chwast wyrwać. To niebezpieczna kraina, twardzi ludzie, co zwieść się łatwo nie dają; jam ich uwagę odciągnął, by w ramiona Rzymu wpadli. Mnie zguba, ale im także, bo niełatwo wyjść z tego. Gdyby jeszcze jaka szata była, tobym się wspiął po niej, by z cienia tronu władzę sprawować. Pomny Ludwika, sprytnym był, dobrze mnie było przy nim. Marzenia o koronie to jedno, władza to drugie. I to drugie dla mnie jako chleb.

Czasu tylko nie starczyło, a Jadwiga mnie zupełnie zawiodła. Można było ten kraj potajemnie ze świata wymazać, podzielić na mniejsze lubo z Węgrami połączyć, wszystko lepsze niż jego w potęgę wzrastanie.

I wiem, że kościelni nie darmo w częstochowskiej ziemi sanktuarium ustawić kazali. Celów ich wszystkich nie zgłębisz, ale moc to miejsce ma wielką.

Oto mocy owej ku celom boga obrócenie: obrazek w Bełzie wzięty i przemalowany, trochę bredni i historyjek o cudach, paru zakonnych, co się z nimi inaczej niźli po łacinie nie dogadasz. I taki rezultat.

Większym potęgom poddany byłem i choć marzenia moje wniwecz się obróciły, to zadanie wypełniłem. Krętactwa i intrygi w ziemi tej zostały, a z nich jeszcze niejedno złe wzejdzie. Takich jak ja nie poznasz do końca; oni zawsze z tyłu, a ręce ich jak u królów długie i nierzadko koronę na sznurku ciągną.

Jam ten kraj zdradzał, jakbym dziewkę chciał posiąść. Kobiet mi nie trzeba było, hulanek takoż. Dla mnie władza największą miłością. Zdrajca zdradą usieczon i kara moja z inną równać się nie mogła – zamknęli mnie w zamku jak w cebrze. Może trzeba było w polu z mieczem zginąć? – Ale to nie po mojemu.

PIOTR SKARGA (1536–1612)

Skarga – bom skarżył. Oskarżyć łatwo. Zawsze i wszędzie jest coś do zarzucenia i wytknięcia. W tej materii wyszkolić człeka łatwo niepomiernie. Bo i potrzeba była taka: czas i miejsce, by rolę swą spełnić jak

najdokładniej. Dar języka, co słowy tysiącem z ust mych jak ptaki ulata, daje mi radość, co żadnej innej się nie równa – bo jest władzą. Jakże pilnym być trzeba, by ślubów tak wysokich dostąpić w zakonie, co go szanują ze strachu raczej niźli z serca.

Misja moja jest jak gorączka, co mnie trawi ciągle, wydaje mi się, że czasu nie starczy, by wszystko przysposobić. Łapać jak najwięcej w ręce i wycisnąć, okiełznać – a da się przecież. Jego świątobliwość będzie radosny, że w kraju mym wszystko jak po słowie i myśli Kościoła się ściele.

Prawda taka, że władza w rękach tego, co pierwej uszy obejmie, a przez nie do serca sięgnie, by na końcu ducha uwięzić. Duch narodu tego Jezusowi ma być zaślubiony, a przez to i rycerzom jego. Trzeba tylko baczyć, by ducha tego z rąk nie upuścić, bo cenniejszy on niźli wszelkie skarby.

Jedynym królestwem, do którego oczy swe kierować mogą ludzie niczego jak bydlęta nieświadomi, jest niebiańska kraina – do niej zwracają swe prośby i żale, dla niej pracują i żyją, bo ona dzięki nim i w nich żyje.

Plan jest genialny i prosty tak, że aż niepojęte. Szlachta rozzuchwalona; warcholstwo jeno po zaściankach się rozwala, głupota i ciemnota wzrasta i wzrasta jak okiem sięgnąć. Słabi oni, jeno warczeć potrafią i łupić się nawzajem; im piwa podłego starczy, by do nóg dobrodzieja padli.

Jeśliby całą władzę w ręce króla złożyć, gdybyż się to udało, wystarczy jego tylko omotać – cóż za prostota. Największy jest ambaras z możnymi, co za granicami uczeni, a i w bogactwa zasobni, tych skaptować trudna sprawa, poniechać – broń cię boże, bo oni władzę na ziemiach swych mają. A ci z nich, co reformacyją zarażeni, groźni być mogą szczekaniem swym.

Król Batory wszystkiemu da posłuch; każdą sprawę co ważniejszą wnet mi przedkłada, a bacznie słów mych słucha. Naród Rzeczypospolitej – masa jak baranów stada na słowa mego skinienie podatnych. A że kraj biedny, to i o biedzie mówić mu nie trza, a raczej ku bogu jego oczy odwrócić. Kwiecistość języka, wizje, co bojaźń wznieca, w których płomienie i apokalipsy dni bliskie tłum niczym czarem ogarniają, wiedź go, dokąd tylko chcesz! Nie można ręki swej przyłożyć do żadnego religii uchybienia, a myśl wszelaką Kościołowi oddać trzeba – nie masz tu tolerancji, bo i w wierze na nią miejsca nie ma dla mnie i dla innych jednako.

Tylem dokonał – cała Rzeczpospolita w rękach Kościoła. Prawosławie papieżowi pokłonione.

Skarbiec pełen, a machina raz ruszona nie stawa i pieniądze strumieniami płyną. Pieniądz i nauka to teraz władza; zawsze tak było. Szkoły w naszych jezuickich rękach napełniają mnie spokojem – pieniądz też nieliche, wciąż większy. Aż mnie czasami myśl dziwnie nachodzi, skąd w tych ludziach biednych taka siła, by za grosze pracować, a i te w końcu oddać na chwałę Kościoła.

Dawajcie, dawajcie, a dając patrzcie oczyma niewidzącymi w bramy królestwa niebieskiego, a jeśli istnieją, to tam się spotkamy, bo moich zasług dużo tam złożonych. Morze słów przelanych, lat na chwale Kościoła spędzonych, dwóch królów ledwie że za rękę wiedzionych. Słodko było żyć wiedząc, że się na górze jest i siłę ma w sobie, co ludźmi porusza – słodko.

BISKUP IGNACY JÓZEF MASSALSKI (1729–1794)

Kościół katolicki najsilniejszą władzą. W państwie, gdzie modły do boga naród zanosi, nic się nie dzieje bez przyzwolenia i wiedzy jego. Wykształcony duchowny silny, ważny i bogaty. Prywata, bezkarność, warcholstwo skryte pod sutanną.

Biskupie Wilno stało się mym królestwem.

Uczestniczyć w wydarzeniach, co historia spisze. Wpływ mieć na ludzi, którym o dobro narodowe chodzi. Być w środku zdarzeń – oto moja rola. Nie przejąć się, zamącić, namieszać. Tak w głowach pokręcić, że myślą, co każę. Łatwo wsączyć w myśli pokrętne idee. Wszystko w imię boga i w zgodzie z nim. Takie słowa słyszą. A ten bóg wart mnie jak ja jego. Obaj na usługach.

W Barze pertraktuję w strony obie. Sprzedaję swoich Rosji, z Sasem się zgaduję. Ja bezpieczny, kiesa moja puchnie. Mnie nie boli, że ojczyznę rozszarpali.

Moja chytrość, rozum, wiedza, dobre urodzenie zaprzedane Kościołowi. Jestem nim, on mną.

Moi bracia – politycy. Radą służą każdej chwili. Ja wykonać mam.

Jezuickie dobra wzięte. Kościół poparł (sam się kryje, swych nie odda). Ich majątek ma pójść dla ogółu sprawy.

Księża sycą ambicje. Objąć trzeba Edukacji Komisję. Nim świeckość nauką i oświatą zawładnąć zdoła, my patronem będziem.

Zakonu jezuitów bogactwo pod nadzór objąłem i ręką Kościoła zagarnąłem do cna. Edukacja goła.

Staszic pierwszy mnie przejrzał. Zaufanie straciłem. Z imieniem boga przysięgać musiałem.

Wiarą i poparciem odnowy wydłużyłem czas mój.

Sejm Czteroletni i majowa Konstytucja zrodziły się na dobrej glebie.

Baczę na prawa Kościoła. Reformy podsycam, lecz ostrzegam magnaterię, że jej wolność zagrożona. Szlachtę, mieszczan zwalczać będą za zwiększenie dla nich praw. Ruch zrobiony. Oszukani, ograbieni i zwaśnieni. Złe się toczy. Czas uciekać. Kościół wysłał mnie za granicę, by nie musiał się mnie wypierać.

Idee Oświecenia i wolności po Europie szerzyć się poczęły. Polska od zawsze była miejscem, gdzie myśl zdrowa na żyzny grunt trafia.

Kościoła misja – nie stracić władzy ni znaczenia. Trzeba było człeka, co znał przedmiot działania, udział brał czynny, dysputy prowadził, popierał co trzeba i wiarygodnym był wiarołomcą.

Oświecenie jest niebezpieczne dla Kościoła. Fali jego zatrzymać się nie da. Lecz wpuścić jad do jądra, co je osłabi, da się. A jadem tym – ja.

Zadanie miałem wyćwiczone dobrze. Iść przy ramieniu postępu fali. Zyskać zaufanie. Pewny siebie działać sprawnie.

Obce mi skrupuły, wyrzuty sumienia, wahania. Obcy wstyd i hańba.

Barscy mogli zwyciężyć. Ale ja czuwałem. Niby konfederatom sprawy załatwiałem, a ja ich Rosji odsprzedałem. Nie było wstydu, że Sas negocjował. Skutek się liczył.

Za nic mi ojczyzna, za nic naród cały. Rosja mocarstwem, Rosja moim sprzymierzeńcem.

Lud zająć trzeba utraconą wolnością i jej wspominaniem. Oczy ku bogu zwrócone. Nie będą szukali ni myśli, ni prawdy, rozejrzą się za wrogiem.

O zdradę ja jeszcze nie byłem sądzony.

Publiczne sprawy i życie wciągały mnie wielce. Nie o przyjemność jednak tu chodziło. Maszyna postępu w ruch się puściła z rozmachem. Ja znany, poważany musiałem być w kręgu najbliższym.

Sejmowe prace były mym udziałem.

Ciężar reform odsuwałem dalej od Kościoła. Duchowny oświecony bronił spraw pasterzy: praw do majątków, sądów, nauczania.

Dla Kościoła, mej kolebki, w ruch puściłem trzy serca bijące: złoto, pozór i prywatę.

Obce kraje nauki nowe dały. Burzy siła, co idzie, Kościoła nie ominie!

Do kraju wracałem, chcąc swego dzieła dokończyć. Zajęci reformami – o mnie nie myśleli. Zbratałem się z magnatami, co nie chcieli króla. Lepsza im niewola cudza niż utrata praw i swobód.

Przyszła Targowica. Jeszcze raz stanąłem z tymi, co sprzedawać umieją. Kościoła to wola. Drugi rozbiór i niewola.

Moja sakwa coraz bardziej tłusta i spasiona.

Byłem sprytnym, bez twarzy sprzedawcą tego, co najcenniejsze dla narodu.

Wolność, ojczyzna, honor i postęp – złota były dla mnie warte.

Publiczna oświata i szkoły solą były w oku moim.

Ja sługa boży – winny. Za wolność utraconą, ziemię podzieloną, złamane reformy pojmali, więzili, stracili.

Ja byłem z tych trzech, co wisieli na sznurze najbardziej załganym. Wiedzieli to dobrze, sprzedam każdego i wyprę się głośno w imię boga. Biskupia szata była mą osłoną do czasu długiego. Nie doceniłem nowych prądów, co dały siłę myśli, wolę wykonania i spełnienia skutków, przywiodły do mego rozliczenia.

Nie myślałem zginąć. Kościół taki mocny.

Nie zdążył wybronić.

Lecz hardy lud Polan, pomny prawości ojców swoich – upomni się o rozliczenie czynów haniebnych tych, co kiedyś biskupami byli, a wielkości swej do zdrady narodu i kraju używali. Osądzon będzie: Stanisław Szczepanowski, choć zbrodnia jego uświęcona została, Henryk Kietlicz, Wincenty Kadłubek, Iwo Odrowąż, Jakub Świnka, Jan Muskata, Jan Gerbisz, Czesław Odrowąż, biskup Bodzanta – co myślą, że zbrodnie swoje pod ziemię ukryli.

Błogosławieni: Skotnicki, Grot, Oleśnicki – choć aureola świętości pomniki ich spowija, krwawe swe czyny wyjawić muszą.

Biskup Tomicki, kardynał Hozjusz, biskupi: Karnkowski, Solikowski, Myszkowski, Łęczycki, Skarga, Sołtyk, Krasińscy, Massalski za męczeństwo, wojny, rozbiory, rozbicia, niewolę narodu sprawę zdadzą.

Odwieczne prawo inkarnacji – odradzania się duszy ludzkiej w kolejnych ciałach – znało wczesne chrześcijaństwo. Wiedzę tę przejęło od poprzedzających je religii. Mądrość z niej wynikającą jednak ukryło przed pospólstwem, by łatwiej manipulować masami ludzkimi. Gdy człowiek wie, czym dusza jest w swej istocie, potrafi czerpać z jej dorobku nagromadzonego w poprzednich bytach – i umie czytać intencje manipulatorów. Gdy nie zna rodowodu swej duszy, skazany zostaje na wiarę, przyjmuje pokornie, że jego życie jest pierwsze i jedyne, że wszystkiego trzeba się uczyć od nowa. Taki ktoś nie pojmie celów prowadzących go autorytetów. Za dobrą monetę przyjmie najgorszy występek, jeśli rzecz zręcznie będzie podana. Mamić można jednak tylko tych, co nie wiedzą, że to możliwe, by martwych pośród żywych szukać – śmierć tylko ciała dosięga. I ciało tylko grzebano, by po następne sięgać, a duszę w podłości i przebiegłości szkolić. Naukę o wędrówce dusz z kanonów wiary wyrzucono, by w aktualnych dostojnikach nikt niegdysiejszych zbrodniarzy nie rozpoznał.

Czasy dziś takie, że tędzy gracze
Swe karty będą musieli wyłożyć
Fałsze, intrygi moc swą tracą
Gdy rzeczywistość w nowe przechodzi

Nikczemność cała w nagości stanie
Pod mianem świętości dotąd skrywana
Oszuści w los przyszły nie wchodzą
Ciało już myśli pokrętnej nie schowa

Kukły święcone lica odsłonią
Drwinę Kościoła pokażą
I trójca święta szaty swe zrzuci
Mgławicę ducha odwoła

Niegdyś mocarze – a dzisiaj w trwodze
Wyroki z rąk ludzkich zbiorą
Za wieki kłamstwa w murach spędzone
Gniew wiernych święte oko wykole

I żaden bóg nikogo nie będzie ratował
Wybawcy, pasterza na Ziemi nie spotkasz
Wreszcie zasłona pozoru spadnie
I człowieka ze stada przegna

Samemu przyjdzie mu z fałszu wyrastać
Wolność człowiecza decyzją mierzona
Odwagą wiedzy płynącą z wnętrza
Trzeba nowe przestrzenie powołać

Bóg bez walczących przestaje istnieć
To konflikt jego siłę budował
Herezje, schizmy, sekty i misje
Bóg sobie zmyślał, by siebie kreować

Gdy walki nie ma
Cudza gorycz – słodyczą ofiary nie spływa
Już koniec możnych, bogów, zarządców
Nowe z trudu pokornych wyrasta.

Wszelka władza od boga pochodzi – slogan zręcznie wpajany wyznawcom chrześcijaństwa zapewnił katolicyzmowi kilkanaście stuleci panowania nad wszystkimi systemami władzy. Taka władza rodzi się ze sprzeczności, niszczenia uniwersalnego porządku rzeczy – toteż warunkiem jej utrzymania jest konflikt.

Dwutysiącletnie dzieje chrześcijaństwa były wypełnione konfliktem. To historia walk o nowe przestrzenie wpływów, to rejestr wewnętrznego konfliktu w łonie wiary.

Definicja istoty boskości (tj. trójcy św.) została tak skonstruowana, by mogła być zarzewiem sprzeczności, by mogły powstawać: schizmy, herezje, ruchy opozycyjne, sekty. Przeciwnik, zwłaszcza niezbyt silny, dodaje władzy blasku, podnosi autorytet, budzi zazdrość. Czyni władanie cenniejszym. Sprawia, że władza i walka stają się największą wartością. Paradoksalne: dwie siły niszczące człowieka i egzystencję stanowią treść życia.

Wiara w boga unicestwia człowieka. Wszystko, co żyje, przymusza do walki. Zmaganie ze sobą, niszczenie drugiego – stały się najpierwszymi przykazaniami ludzkości. Sprawiły, że żyjący bez wiary też bez walki nie umieją egzystować. Kod walki wszczepiony przed wiekami, jako podstawowy warunek bytu człowieka, miał zapewnić trwanie religii i niezniszczalność wiary do ostatniego tchnienia istoty ludzkiej na planecie. Szatański to pomysł, by z takim zapamiętaniem prowadzić do zagłady ludzkości i planety.

Diabelskie zaiste jest żniwo tej wiary. Po dwu tysiącach lat panowania chrześcijaństwa próżno by szukać pełnych miłosierdzia wyznawców. Przeciwnie: coraz więcej wokół nas jadu i mściwości. Coraz więcej postaw pełnych fanatycznej nienawiści. Żadnej litości dla myślącego inaczej, ale i żadnej łaskawości dla współbrata z Kościoła czy partii, jeśli ten zagraża w wyścigu do władzy. Zdziczały i zaślepiony wiarą naród zapomnienia szuka jedynie w mnożeniu potomstwa. A planeta jest, jaka jest. Wraz z powiększaniem przestrzeni wiary i liczby wyznawców nie

rosną ani jej wymiary, ani zdolność wyżywienia coraz większej ilości ludzi.

Ginie więc Ziemia pod naporem ludzkiej głupoty, miażdżona szaleństwem wiary.

Cóż to za bóg, który swe dzieci do zagłady tak przebiegle wiedzie? Nawet dla swych pośredników wyjątku nie czyni. Ci, zaślepieni wiekową grą o boską chwałę, nie spostrzegają, że mistyfikacja pętlą na ich własnej szyi się zaciska. Epoka pozoru, fałszywych wartości dobiega końca. Ostoi się tylko ten, kto potrafi sięgnąć do własnej myśli. Wnioski z realnych faktów wyciągać.

Dzieje Polski z konkretów się składały. Nigdy w nich miłosierdzia nie było. Wielość trudu i krwi przelanej dawniej łatwiejsze czyni dzisiejszym Polakom wyciąganie wniosków. Tej sprawiedliwej szansy myślący nie mogą przegapić. Z krwawych wniosków przeszłości – przyszłość przychodzi wznosić.

ZAPRZEDANI DIABŁU

Chrześcijaństwo niebawem będzie święcić dwutysiąclecie swego istnienia. Polska już w połowie 1997 roku rozpoczęła uroczystości rocznicowe, przygotowując się ogromnym nakładem kosztów do Światowego Kongresu Eucharystycznego we Wrocławiu i obchodów męczeńskiej śmierci patrona Polski – Wojciecha, nadto zaś do kilkunastoetapowej pielgrzymki papieża-Polaka – Karola Wojtyły.

Tysiące ludzi z całego świata przyjechało do Polski w przekonaniu, że modlitwą, śpiewem, medytacją, tańcem wzmocnią katolicką jedność, dzięki czemu do swojej lepszości podciągną gorszy, istniejący równolegle z nimi świat.

Czym w istocie są kongresy eucharystyczne, wprowadzone do obyczaju kościelnego jeszcze w XIX wieku, niewielu uczestników tych imprez zdaje sobie sprawę. Samo słowo „eucharystia" towarzyszy wyznawcom katolicyzmu od momentu pojawienia się pierwszych grup chrześcijańskiej sekty w Europie; wedle definicji – to ofiara ciała i krwi syna bożego poniesiona w celu odkupienia win ludzkich. Czczenie ofiary ciała jednego za przewiny drugiego stało się najważniejszym sakramentem w codziennym rytuale katolickiej mszy: Krew – wino, Ciało – chleb. Monstrancja, hostia, piszczel męczennika – świat umowy, symbolu, ściągający jednak konkretną energię psychiczną z osób skupionych na mistrzu ceremonii.

Znaczy to, że każdego dnia ceremonialnie koduje się w wyznawcach przymus cierpienia, wymusza się permanentne poczucie winy. Z drugiej strony wpaja to przekonanie, że nie wszyscy muszą ponosić konsekwencje za popełnione czyny. Bo przestępstwa, zbrodnie, „grzechy" można rozgrzeszać cudzą śmiercią, okupić ofiarą innego człowieka, pieniędzmi wyjednać odpust. Stąd wniosek, że eucharystia służy jako instrument różnicowania ludzi. „Wybrani" dzięki ofierze stanęli ponad prawem. Pozostałych skazano na udrękę, pokutę, wyrzuty sumienia. Wmówiono im, że eucharystia, będąc żądaniem ofiary ciała człowieka, ma jakiś wyższy

sens. Przyzwolenie na jej funkcjonowanie jest przystaniem na grę, pozór, które egzystencję człowieka zamieniły w tragifarsę, a wyznawców w tanich aktorów, recytujących slogany litanii, przykazań, cnót, wykonujących rytualne gesty (przyklęki, ukłony, bicie czołem), by utwierdzić kod ofiary.

Eucharystia – słowo-wytrych, sprytnie łagodzi to, co się za nim kryje: mord, na którym zbudowano wszystkie religie. Nieustanna krwawa ofiara była niezbędna do wzbudzania lęku, wiary w konieczność walki i prawo silniejszego w egzystencji człowieka. Dziś, poszerzona o ofiary psychiczne oraz finansowe, zabezpiecza różne systemy religijne. Ceremoniał eucharystii podtrzymuje świat manipulatorów, zabezpiecza pasożytniczą egzystencję hierarchów kościelnych.

A wszystko to stało się za przyczyną stworzenia mitu o męczeńskiej śmierci Jezusa.

Jezus – wie o tym hierarchia duchowna Kościoła – nie oddał za nikogo swojego życia, nie umarł na krzyżu, nie zmartwychwstał i nie wniebowstąpił. Wtajemniczeni w mistyfikację znali prawdę od bezpośrednich towarzyszy długoletniego życia Jezusa. Tajemnicy w stu procentach nie udawało się zachować. Pisał o tym Abulafia w *Traktacie o milczeniu*, znał prawdę Michał Anioł, dając temu wyraz w malowidłach Kaplicy Sykstyńskiej, gdzie nie znajdziemy Jezusa ukrzyżowanego, natomiast jest krzyż, który wali się na głowy wyznawców, podobnie jak kolumna symbolizująca naukę przygniata swoje autorytety w scenie końca świata. Co stanowi zapowiedź upadku wiar.

Mistyfikacja męczeńskiej śmierci Jezusa posłużyła jednak do stworzenia nowego systemu religijnego: chrześcijaństwa, miała być zachętą, wzorem do świadczenia ofiar przez wyznawców na rzecz boga i jego pośredników. Ktoś składa ofiarę, by ktoś inny mógł czerpać z niej zyski. Tak podzielono ludzkość na elitę i masy.

Katolicy spoglądając na krzyż najczęściej znajdują na jego ramionach słowa: Wiara, Nadzieja, Miłość – Życie. Nikt nie dostrzega w tej symbolice sprzeczności, nie zauważa, że jest wyznawcą religii śmierci i zabijania.

Krzyż – symbol najbardziej okrutnego umierania człowieka – opatrzony hasłami: wiara, nadzieja, miłość nadaje wymiar drwiny życiu, ludzkim dążeniom, pragnieniom. Modlitwa, skupienie się na przewrotnym symbolu otwiera człowieka na cierpienie, sprawia, że akceptuje on udrękę – a więc godzi się na oddawanie własnej energii pomysłodawcom „krzyża życia".

Słowa-wytrychy od zarania dziejów służyły do manipulowania ludzkim myśleniem, wzbudzały emocje w masach ludzkich, doprowadzały do utraty własnej energii. A wystarczyłoby pomyśleć: Jak może pomóc ktoś, kto sam bezradnie wisi na krzyżu. Adoracja takiego wizerunku pozwala utrzymać ogólną bezsilność, przeciwdziała aktywności, samodzielności. Uczy wybaczania złoczyńcom. Pozwala przebiegłym uciec ponad struktury krzyża, nie ponosić konsekwencji za naganne czyny. Hołdujący symbolice „krzyża życia" czy choćby na nią przystający nigdy nie ułożą między sobą sprawiedliwych relacji. Tak jak nie uda się wprowadzić w ludzki organizm programu zdrowia po wszczepieniu weń wirusa braku odporności.

Czym większa masa ludzka, im gruntowniejsze jej poruszenie emocjonalne – tym oczywistsze zyski dla powołanego symbolu i jego pomysłodawców. Stąd ceremoniał religii zawsze opierał się na uroczystych spędach wyznawców: procesje, pochody, pielgrzymki, krucjaty, marsze, kongresy, parady – to środki do podwyższania temperatury napięć w ludzkich zbiorowiskach. Pojedynczy człowiek traci kontrolę nad własnym myśleniem, rozumieniem, gdy znajdzie się w rezonansie emocjonalnym z tłumem, ale można wprowadzać w niego dowolne kody: zwątpienie w fakty, konieczność cierpienia, ofiary.

Słowo „bóg" to również klucz do wzbudzania lęku, budowy autorytetu, wykorzystywania innych. Posługują się nim ci, którzy wiedzą, że boga nie ma. Ponieważ bóg jest mistyfikacją. Do wiary w niego zawsze trzeba było agitować, przymuszać. Ceną wiary jest zaparcie się wiedzy, oddanie myślenia i energii pośrednikom boskim, ale o tym człowiek wierzący już nie wie. Z czasem staje się wyjałowionym potakiwaczem, wypełniaczem przestrzeni organizowanej przez autorytet, obywatelem z numerem identyfikacyjnym, żywicielem określonej parafii, biskupstwa, papiestwa. Czym więcej strachu, udręczenia – tym „bóg" wydaje się bardziej wszechmocny, a wyznawca słabszy, bezradny. I tak zamyka się błędne koło uzależnień. Można głosić miłość, a jednocześnie rozpowszechniać nienawiść.

Można nawoływać do miłosierdzia zagarniając cudze dobra. Wzbudzać u innych sumienie, samemu pławiąc się w okrucieństwie.

Chrześcijaństwo mieni się religią uniwersalną choć wytrzebiło ostatecznie prawa uniwersalne i zastąpiło reguły jednakowe dla wszystkich prawami naturalnymi – czyli prawami silniejszego. Miano wiary uniwersalnej dla religii katolickiej powstało w wyniku zniewolenia tak wielu narodów świata, że teraz wyznanie to uważa się za powszechne. Należy jednak pamiętać, jak do tego doszło. Chrześcijańska sekta wyrosła z judaizmu. Nadal pozostają wspólnym organizmem. Tam jest jej mózg i zasilanie pomysłami wiary krzyża. Judaizm w ten układ wniósł znajomość mechanizmów rządzenia, walki, wykorzystywania, bezwzględności i okrucieństwa. Chrześcijaństwo czerpiąc soki z judaizmu ożywiło nowym napędem skostniałą już strukturę wiary. Gdzie tylko docierało, tam zarażało nienawiścią do człowieka, syciło walką, głosząc przewrotnie miłość, miłosierdzie i ochronę życia.

Przełom pierwszego i drugiego tysiąclecia miał zapoczątkować imperium chrześcijańskie. Planowano, że do końca drugiego tysiąclecia będzie to jedyny system zarządzania planetą. Postęp, jaki chrystianizacja czyniła wśród społeczeństw Europy Zachodniej, założone w Konstantynopolu centrum wschodniego obrządku chrześcijaństwa budziły nadzieję, że i oporne centrum Europy uda się nawrócić na chrześcijaństwo.

Judaizm zapowiedział nadejście mesjasza-zbawiciela. Tę obietnicę miał spełnić za pomocą programu uniwersalnej religii „Jezus". Pracowało nad nim wielu doskonale wyszkolonych, doświadczonych agitatorów – działaczy gmin żydowskich, rozsianych po całym Imperium Rzymskim. Podstawy mitologii chrześcijańskiej tworzono przez około 100 lat, dostosowując je wciąż do aktualnych potrzeb ideologicznych.

Dzisiaj również podlegamy programom manipulacyjnym, nie podejrzewając nawet, że wiele z nich to ustalenia i plany sprzed 2000 lat.

Współcześni Polacy np. bezmyślnie powtarzają, że Polska to kraj od korzeni katolicki, a przecież Polanie wiekami bronili bezwyznaniowej tożsamości. Do X wieku wiedza, konkret i słowo honoru było dla nich wszystkim. Żyli zgodnie, rozumieli się. Nie dopuszczali boga do ludzkiego ładu. Nie udało się jednak powstrzymać ingerencji najemników boskich. Chrześcijaństwo zniszczyło myślenie Polaków. Stąd nasza świadomość historyczna jest zubożona o czasy sprzed chrześcijaństwa. Posłużyły do tego kroniki tendencyjnie spisywane przez zakonników. Toteż powszechnie sądzi się, że Polska zaczyna się od Mieszka I, chrztem kraju w 966 roku. Podręczniki współczesne również nie zawierają wielu informacji o dziejach Polan poprzedzających chrzest w obrządku łacińskim. Historia milczy na temat zaciętych bojów Słowian w centrum Europy, choć skutecznie przez wieki odpierali oni nawałnicę chrześcijańską.

Dokumentów historycznych, zapisów w dziejach krajów zachodnich jest aż nadto, by wyciągnąć wnioski, że z lekceważeniem wypowiadane opinie o pogańskich obyczajach w centrum Europy – to ówczesny wyraz bezsiły chrześcijańskich najeźdźców wobec opornych na boga Słowian. Trzeba było wiekowych zabiegów różnorodnej natury, by doprowadzić ich do chrztu. Dopiero po stworzeniu obrządku wschodniego i nagięciu liturgii chrześcijańskiej do języków słowiańskich doszło do wyłomu w spójnej umysłowości Słowian.

Nasi przodkowie nie żałowali własnej krwi ani życia, by odeprzeć zupełnie obcą im ideologię. Akt chrztu, który wiązał się z bezwarunkowym przyjęciem fałszywych treści, pozostawał w absolutnej sprzeczności z rozumieniem świata przez Słowian. Wprowadzał konflikt myślowy i egzystencjalny. Administracyjnie narzucił styl bycia.

O pierwszym widomym sukcesie chrześcijaństwa na ziemiach słowiańskich można mówić nie w X, ale już w IX wieku, gdy to działania Cyryla i Metodego umocniły wpływy papieskie w centrum Europy. Bizantyjscy posłańcy szerzyli chrześcijaństwo w języku słowiańskim, co pozwalało łatwiej wniknąć w ludy słowiańskie. Na tak rozmiękczony grunt wkraczał Kościół rzymski.

Cyryl i Metody nie byli pospolitymi misjonarzami. Starannie wykształceni, zanim zabrali się za upowszechnianie wiary, pełnili różne funkcje dyplomatyczne przy dworach cesarskich. Choć uznani za przedstawicieli Kościoła bizantyjskiego, przez całe swoje życie byli przyjmowani z honorami w stolicy apostolskiej.

W 874 roku Czechy przyjęły chrzest z rąk Metodego. W rok później książę Wiślan Lestek siłą zostaje zmuszony do przyjęcia chrztu z rąk uczniów Cyryla i Metodego. Metody wysłał wówczas do księcia posłańców z przestrogą: „Na dobre ci synu wyjdzie ochrzcić się z własnej woli i na własnej ziemi, abyś nie był chrzczony pod przymusem na ziemi obcej". Wieloplemienne państwo Lestka składało się wówczas z ziem: kra-

kowskiej, kieleckiej, sandomierskiej, lubelskiej, Śląska i Grodów Czerwieńskich.

Misje zachodnich i wschodnich misjonarzy były wtedy bezpardonowymi walkami o wpływy nad rozkwitłymi gospodarczo terenami. Dzięki temu, że historia narodów była tendencyjnie preparowana przez zakonnych kronikarzy, dziś można aplikować legendy o duchowej roli, misji chrześcijaństwa, zapewniać o szlachetnych intencjach wysłanników boskich do krajów pogańskich. Za każdą udaną misją Kościoła zawsze kryła się krew tysięcy niewinnych ludzi i zniewolenie umysłowe pozostałych przy życiu. Dzieje narodów pełne są przeinaczeń, przemilczeń, tendencyjnych opisów, skonfabulowanych w interesie Kościoła.

Chrześcijaństwo w obrządku łacińskim długo jeszcze walczyłoby o wpływy na terenie Polski, gdyby nie grunt przygotowany blisko sto lat wcześniej przez Cyryla i Metodego. W poddaniu państwa polskiego stolicy apostolskiej pomogło również osadzenie na terytorium Polan dynastii Piastów. Geneza ich rodu nie wywodzi się z Polski – istnieją zapisy potwierdzające ten fakt. Arystokratyczność i dynastyczność były Polanom obce. Mieszko i jego syn Bolesław Chrobry odwdzięczali się sowicie mocodawcom za osadzenie ich dynastii w Polsce. Usłużnie wspierali łacińską ingerencję i wpływy germańskie.

Na dworze polskim Mieszka, później również Bolesława Chrobrego przebywało stale wielu Niemców. Mieszko, o czym historia niezbyt często wspomina, z entuzjazmem wspomagał Sasów w walkach przeciw Słowianom – dostał nawet honorowe tytuły „jedynego wybawiciela", „przyjaciela cesarzowej" za tępienie Słowian Połabskich. Mieszko był niezwykle przychylny Wojciechowi Sławnikowicowi. Ów potomek możnowładcy czeskiego i księżniczki bawarskiej, powinowaty cesarza Ottona, protegowany stolicy papieskiej, był biskupem praskim. Ambitny i zapalczywy, do kariery duchownego przygotowywał się w elitarnej szkole przyklasztornej w Magdeburgu. Tam spotkał się z Bolesławem Chrobrym, a nawet połączyła ich przyjaźń.

W Magdeburgu (w starożytności gród słowiański nad Łabą – Dziewinów) kształcono dostojników kościelnych, młodzieńców z najlepszych rodów przygotowywano do pełnienia władzy. Kształtowano fanatycznych wojowników, zawziętych orędowników racji Kościoła. Ekspansja, narzucanie własnej woli, walka słowem, prowadzenie intryg, dyskusji, kłótni

to podstawowe umiejętności, w które wyposażano przyszłych arystokratów. Zgoda, tolerancja, współdziałanie były uważane w tej szkole za przejaw słabości. Ceniono głównie zapalczywość, upór, ambicję, nieustępliwe dążenie do celu.

Od przeniesienia rezydencji Ottona I do Magdeburga miasto to pełniło specyficzną rolę. By nie pozostał ślad po słowiańskim rodowodzie: „Magdeburg stał się nie tylko pierwszym placem broni, zbiorem przedniejszego rycerstwa, ale i głównym miejscem zarządu wojennego sił przeznaczonych do działania przeciw Słowianom. Tu się knuły zamachy w celu ujarzmienia Słowian, tu na rachunek zdzieranego z nich trybutu wznosiły się pyszne kościoły, tu zebrane »legiony łotrów« gotowe były na skinienie królewskie rzucić się albo na północ ku Pomorzu, albo na południe ku Czechom. Z Magdeburga wyjdą później misjonarze niemieccy, aby przez kościół ludy słowiańskie w poddaństwo niemieckie zapędzić".

Wojciech Sławnikowic talentów wojownika nie przejawiał, zdolności mówcy też nie miał. Kłótliwy, histeryczny nieudacznik, chorobliwie ambitny. Od śmierci biskupa praskiego Dytmara, przy której był obecny słysząc wołanie umierającego, że go czarni czarci do piekła wlekli, tak się przeraził, że tylko bogu służyć postanowił.

Żadne żywoty świętych nie podają, że Wojciech stał w samym centrum walki i ataku łacińskiego na duchowieństwo obrządku słowiańskiego. Wszystkie jego porażki i nieudacznictwo tłumaczy się grzesznością jego owczarni i podłością pogan, o konflikcie wewnątrzkościelnym, w który był zamieszany, nie mówiąc ani słowa. „W tem tylko nieszczęśliwy był, iż czułość około owiec swych wielką mając, mało im pomagał, bo na złą i zepsowaną rolę trafił". Ludzie ci „święta gwałcili, postów nie chowali, nikogo (czyli Wojciecha) nie słuchali... klerycy też żenić się jawnie nie wstydzili, karności kościelnej zaniechali, biskupa sobie nic nie ważyli. Upominał, karał, wszystko na próżno, sprzeciw wobec niego był coraz większy". Wojciech nie potrafił porozumieć się z ludźmi. Narzucał w sposób apodyktyczny łacińskie ceremonie, dogmaty, ascezę, pokutę, posty, choć Czesi już byli ochrzczeni w obrządku słowiańskim. Wojciech na porażki reagował histerycznie. Groził piekłem, potępieniem, rzucał klątwy na Przemyślidów i naród czeski. Toteż został przez praskich chrześcijan wyrzucony. Upokorzony tym faktem udał się do Rzymu. Nieudana misja

nawrócenia rodaków na lepszą wersję wiary była silnym wstrząsem dla psychiki Wojciecha. Zawód, że jego racja nie jest przyjmowana przyprawiał go o stany depresyjne. Stąd ucieczka w mistycyzm graniczący z chorobą psychiczną. Papież ponownie wysłał Wojciecha do Czech. „Gdzie ten nie przestawał upominać i karać... więcej czyniąc niżeli pierwej". Ortodoksja Wojciecha, narzucanie łacińskiego obrządku znowu skończyły się ucieczką na Węgry, ale ta wyprawa też owoców nie przyniosła. Wrócił więc do Rzymu, gdzie rozpoczął czynić wielkie cuda; a to niosąc garniec z winem obalił się, ale przyniósł go zakonnikom nienaruszony, a to „córkę jednemu na oczy chorującą, kładzeniem ręki zleczył, drugiemu stracony apetyt do chleba wrócił... Asteryzeusz kleryk jego, z gniewem i łajaniem od niego iść precz chciał; ale skoro wyjechał, tak błądził w drodze, iż się do biskupa wrócić musiał". Tyle zdarzeń „niezwykłych" wymienia Piotr Skarga pisząc o św. Wojciechu. Te cuda miały poprawić niską samoocenę Wojciecha, dodać mu wiary w siebie, a co najważniejsze – rozwinąć w nim idèe fixe zostania świętym. Jako że brakowało mu rozumu praktycznego, daru argumentacji i porywania ludzi, zdecydowano zatem, że zostanie męczennikiem. Przygotowano mu dalszy scenariusz.

W drodze do Czech w towarzystwie cesarza Ottona III „puścił się przez Francyę, chcąc świętych ciała nawiedzić". Rozważania u grobu świętych mężów utwierdziły zaszczepioną w nim myśl o własnej świętości. Tymczasem Przemyślidzi wymordowali część jego rodziny pozostałej w rodowych Libicach i Czesi już „żadną miarą widzieć Wojciecha, ani go mieć za pasterza nie chcieli". W historii żywota Wojciecha zapomina się jednak dodać, że pogrom Sławnikowiców to odpowiedź na spisek Sobiebora, brata Wojciecha, który w zmowie z Ottonem III szykował się do przejęcia władzy w Czechach. Bolesław Rudy, syn Bolesława Pobożnego wyklęty wcześniej przez Wojciecha, okazał się szybszy i wybił spiskujących Sławnikowiców. Pozostali przy życiu bracia: Sobiebór, Wojciech i Radzim Sławnikowice na zaproszenie Bolesława Chrobrego przybyli do Gniezna jako wygnańcy. Polityka władców polskich była już wówczas zręcznie sterowana z Rzymu.

W 989 roku Wojciech, jeszcze jako biskup praski, był wykorzystywany przez papieża Jana XV i cesarzową Teofano do latynizacji arcybiskupstwa krakowskiego. Kościół osłabiał narody słowiańskie, podżegając władców tych państw do bratobójczych wojen, wysługiwał się nimi do realizacji cesarsko-papieskiej polityki. Przykładem tego były wojny Mieszka na Łużycach i z Czechami w 990 roku, wsparte udziałem czterech pancernych hufców niemieckich dowodzonych przez zaprzyjaźnionego z Wojciechem arcybiskupa magdeburskiego. Thietmar słowami grafa Zygfryda von Valbeck pisze o tym wydarzeniu: „Dobrze choć i to, że biją się oni sami między sobą. Bo cóż byśmy uczynili, gdyby te wojska, które teraz stoją naprzeciw siebie, połączyły się i razem ruszyły przeciwko nam. Spójrzcie tylko ilu pancernych, ile lekkiej jazdy i piechoty przyprowadził tu Mieszko, a ile tysięcy ma Bolesław Pobożny".

Następca Mieszka, Bolesław Chrobry, prowadząc politykę „wyższych racji" złożył hołd i dary Ottonowi III na zjeździe wasali w Merseburgu. By zasłużyć na koronę, wspomagał Niemców w ich wyprawie przeciwko Słowianom Połabskim, organizował pod patronatem papiestwa najazdy na terytoria nadbałtyckie. Utworzył łacińską metropolię w Gnieźnie. Papież zaś powołał Wojciecha na arcybiskupa misyjnego.

Z namowy Wojciecha ginęli biskupi misyjni za używanie języka słowiańskiego. Kościół rzymski przemilcza tych męczenników, bo ci zostali „słusznie" zamordowani. Wojciech ponosi odpowiedzialność za krwawą reformę kościelną przeprowadzoną przez Bolesława Chrobrego. Zachowany latopis diaka obrządku słowiańskiego z Dubkowa tak charakteryzuje działalność św. Wojciecha: „Potem gdy mnogo lat minęło... przyszedł Wojciech do Moraw, do Czech i do Lechii, zniszczył wiarę prawdziwą i pismo słowiańskie odrzucił, zaprowadził pismo łacińskie i obrządek łaciński i obrazy wiary prawdziwej popalił, biskupów i księży pozabijał, drugich rozegnał i poszedł do Prus, chcąc i tych na swoją wiarę nawrócić i był ubity Wojciech, biskup łaciński".

Życie i śmierć św. Wojciecha były ściśle powiązane z polityką Rzymu. Jego przydatność do służenia wierze dostrzeżono jeszcze w Magdeburgu: jego predyspozycje wrażliwego medium, skłonności do duchowych uniesień, wolę wypełnienia szczególnych misji. Był więc pod specjalną „opieką" biskupa Adalberta, który umiejętnie zaszczepiał w nim ideę posłannictwa Kościoła łacińskiego w Europie wschodniej.

Kościół rzymski potrzebował kapłana pochodzenia słowiańskiego do krzewienia dogmatów łacińskich na ziemiach Słowian. Potrzebował też męczennika, wokół którego skupiałaby się uwaga pogan, zmusiła ich do

modłów, ceremonii, ofiar, budowy świątyń, klasztorów, nadań materialnych. Z misją męczeńską wyruszył więc Wojciech do Prus, godnie uposażony przez księcia Bolesława. Najpierw do Gdańska, a potem na wschód; tam wkroczył w krainę wolnych ludów, zatwardziałych pogan, Bałtów. Wojciech postanowił, że albo tych pogan nawróci, albo też mężną śmiercią zginie. Nawykły do nachalnej ingerencji i narzucania swoich racji, wchodził między pogan we wsiach i miastach, przemawiając: „Poznajcie Pana Boga jedynego, a wybawicie dusze wasze z mocy piekielnej i czartowskiej; wierzcie w Jezusa, który świat odkupił, a chrzcijcie się na odpuszczenie grzechów waszych". Dla pogan było jasne, że jest to człowiek chory, szalony, niespełna rozumu, pełen przy tym desperacji i determinacji. „Prusacy śmieli się, a słuchać nie chcąc, kazali im z ziemi wynijść, rozkazując pod utratą gardła i majętności, aby ich nikt do gospody nie przyjmował". Wojciech, który prócz odpędzania, kpin i śmiechu większej reakcji u pogan nie widział, postanowił dopiec im do żywego, zadać ból, wymusić odwet, zemstę. Był na to tylko jeden sposób – zbezcześcić to, co dla nich najważniejsze: wbić krzyż w ich święty gaj, gdzie czerpali moc i spokój łącząc się z siłami natury. Wojciech wszedł w krąg, który był dla nich święty, bo w tym miejscu zbierali się, by wspierać się radą, podejmować wspólne decyzje. Biskup, zawodząc psalmy, wbił krzyż w ziemię, rozstawił przenośny ołtarz i zaczął odprawiać mszę w niezrozumiałym języku. Czy podobna sobie wyobrazić, że do katedry biskupiej Wojciecha bezkarnie wkraczają poganie i urządzają sobie śpiewaną biesiadę? Za taką profanację byliby „słusznie" zamordowani. Jednak męczennikami by nie zostali i czcią całych narodów nie nakazano by ich honorować. Wojciech wykrzykiwał swoje racje, wkraczając do nie swojej ziemi. Spokojnym ludziom narzucał boga, którego nie chcieli. Zbrukał ich ziemię. Dla Prusów był to czyn haniebny, karano go śmiercią.

Świadkowie zdarzenia i wykonania wyroku: brat Wojciecha Radzim (późniejszy arcybiskup gnieźnieński znany jako Gaudenty) oraz mnich Benedykt, czyli Bogusz – zostali przez Prusów puszczeni wolno, bo praw nie naruszyli i mieli zaświadczać o prawdzie zaszłych faktów. Niestety kronikarze spreparowali wersję oficjalną – kościelną, w której brak wypowiedzi naocznych świadków. Za to mnóstwo jest sprzecznych komentarzy, ocen. Nie ma nawet zgody co do miejsca męczeństwa Wojciecha. Jedni podają okolice miasta Romowe, inni – wsi Chobolin, kolejna wersja głosi, że Wojciech zginął gdzieś w Prusach, między Niemnem, Wisłą a Bałtykiem. Współczesne źródła kościelne zaś wskazują na miejscowość Święty Gaj. A przecież niemożliwe jest, by nie zapisano dokładnie miejsca śmierci tak prominentnej osoby.

Bolesław Chrobry wysłał posłów po ciało Wojciecha do Prus, gdzie i do kogo konkretnie nie wiadomo. Podobno żądali za jego ciało – jedni mówią złota, inni – srebra, jeszcze inni przebąkują coś o cudzie: „Ciało ono tak się lekkie na wagach stało, iż bardzo mało srebra ważyło". A tak naprawdę nic za ciało Wojciecha nie żądano, ale trzeba było jakoś wykazać cenność zwłok i poświęcenie Bolesława. W wersjach historycznych zawsze było dziewięćdziesiąt dziewięć procent zmyśleń, bo to tworzyło fundament wiary.

Skutki tego wydarzenia okazały się ważne dla wielu: Bolesław Chrobry na śmierci Wojciecha zarobił koronę. Papiestwo wygrało batalię, powiększając imperium łacińskie o Słowiańszczyznę. Sam Wojciech zdobył upragniony tytuł świętego już w 999 roku, w dwa lata od swojej śmierci. Warto dodać, że kanonizowany był jako święty niemiecki i dopiero po rozwinięciu kultu na przełomie XII i XIII wieku został uznany za polskiego świętego.

X wiek mimo formalnej inwazji chrześcijańskiej na teren środkowej Europy był nadal czasem zamkniętym dla formacji katolickiej. Aprobata władców polskich dla misji zakonów ingerujących w losy narodu przynosiła skąpe rezultaty. Krnąbrni Polanie nie chcieli ofiary krzyża. Zabijanie kogoś za przewiny innego było dla nich czymś tak niepojętym, że gotowi byli własnym życiem przeciwstawiać się pokrętnym kanonom wiary. Z ofiary krzyża i ludzkiego udręczenia jednak w Europie zachodniej już od dawna czerpano zyski. Walki, konflikty, intrygi wynosiły na trony lub kasowały dynastie. Rozrastały się posiadłości duchownych.

Idea chrześcijańska stała się receptą na utrzymanie społeczeństw w posłuszeństwie, dawała władzę nad ciałem i myśleniem człowieka. System wiary pozwalał na grę ludzkim losem. Człowiek odcięty od wiedzy, czyli pewników swej egzystencji, za rzeczywiste musiał przyjmować to, co wyznaczał autorytet. Prawa naturalne, a w istocie racje silniejszego, bardziej przebiegłego, nie liczyły się z prawdą ani realiami. Stawiały na umiejętności manipulatorskie. Sprytni w ten sposób wymykali się ponad struktury krzyża i czerpali zyski z udręczenia wyznawców.

Polska jako jedna z ostatnich w Europie ugięła się pod ciężarem mistyfikacji wiary.

Dziś próżno by szukać rozsądku i mądrości, którą mieli przodkowie. Ekspansja państwa watykańskiego, której celem jest ponowne skucie europejskich krajów katolicyzmem, nie napotyka w Polsce przeszkód. Zahipnotyzowani wiarą Polacy godzą się na hańbiące propozycje stolicy apostolskiej, dozwalają na ingerencje papieża w żywotne interesy narodu. Niczym stado baranów przypieczętowujemy w XX wieku największe paradoksy dziejowe: przystajemy na konkordat, glorię eucharystii, boską preambułę. Zachód wyrasta z prymatu chrześcijaństwa, Polska ożywia kolebkę męczeństwa.

Obiektem szczególnej czci Polaków stał się święty Wojciech – na poły Czech, na poły Niemiec zamordowany tysiąc lat temu przez Prusów, narzucony narodowi polskiemu jako patron. Dziesięć wieków temu przydzielono Polsce obcego ofiarnika, by utwierdzać model męczeństwa wyrosły z mitu o śmierci Jezusa. Męczennicy żywym przykładem zaświadczali bezwzględne oddanie wszechmogącemu, utwierdzali pozycję okrutnego boga – którego za czyny przestępcze trzeba było jeszcze miłować.

Wojciech – słowianożerca, jako zdrajca przepędzony z własnego kraju, jako naiwny przebieraniec wyśmiewany w krajach pogańskich Bałtów, na Litwie i Rusi, zajadły doktryner łacińskiego Kościoła – doczekał się czci i chwały jako specjalnie zasłużony dla Polski. Po co On nam?

„Męczennik" jest niezwykle efektywnym programem politycznym. Gloryfikacja męczeństwa sprawia, że czyn taki jest godny naśladowania. Męczeństwo, cierpienie zostaje uznane za najwyższą wartość. Serię męczeńską rozpoczęto programem „Jezus", co stało się kamieniem węgielnym do rozbudowy Kościoła na nowych terenach niedostępnych wcześniej dla sekty judaizmu – zwanej chrześcijaństwem. Każdy świeżo schrystianizowany naród musiał mieć swego patrona „męczennika", jako wzór do naśladowania. Przyjęcie symbolu ofiary męczeńskiej jest wyznacznikiem sukcesu i wzrostu władzy Kościoła na zajętym terenie. Z programu „Jezus" wywiódł się scenariusz męczeński Wojciecha. Podobnie i teraz kościół kreuje męczeńskie postawy. Tak podprowadzono ks. J. Popiełuszkę do męczeństwa. Dzięki jego śmierci miało odrodzić się chrześcijaństwo polskie XX wieku.

Wojciech rozpoczynający tysiąc lat temu męczeńską krucjatę w krajach słowiańskich i dziś ma symbolizować akceptację zniewalania narodów i władców. Miał przywieść do stóp papieża i arcybiskupa gnieźnieńskiego prezydentów Czech, Niemiec, Słowacji, Węgier i Polski.

Wielki show przebierańców w Gnieźnie w dniu 3 VI 1997 roku z udziałem głów pięciu państw miał być powtórzeniem bardzo intratnego dla Kościoła spotkania, jakie odbyło się w roku 1000 z okazji pielgrzymki Ottona III do grobu św. Wojciecha w Gnieźnie. Ubito wtedy wiele interesów. Bolesław Chrobry otrzymał gwóźdź z krzyża Jezusowego i kopię włóczni św. Maurycego, Otton III zaś ramię św. Wojciecha. Zawiązano wiele intryg politycznych, Bolesława Chrobrego podporządkowano wówczas ostatecznie Kościołowi rzymskokatolickiemu.

Zaproszenie polskiego prezydenta w towarzystwie prezydentów Czech, Słowacji, Węgier, Niemiec było zaplanowanym i świadomym afrontem politycznym wobec Polski, miało poniżyć bezwyznaniowego prezydenta i tę część narodu, która wybrała jego program. To rzucenie go na kolana przed pośrednikami boga w uroczystej atmosferze czczenia zabobonu.

Hierarchowie stosują różne strategie i naciski, by wymusić na prezydencie Kwaśniewskim uległość w kwestii stosunków Kościół–państwo–naród. Wizyta prezydenta-Polaka u papieża-Polaka, na którą głowie państwa przyszło długo czekać, zaowocowała kompromisem, poddaniem się woli Kościoła.

Historii Polski nieodłącznie towarzyszy kompromis przywódców wobec stolicy apostolskiej, skutkiem tego są stale trwonione siły, energie myślącej części narodu. Wszystko, co najlepsze, zaprzedawane jest nigdy nie nasyconej bestii, która oczekuje wciąż nowych ofiar, przede wszystkim w postaci energii, emocji i myśli ludzkiej. Takie ofiary są daleko cenniejsze od darów materialnych.

Escriva de Balaguer, założyciel Opus Dei, najprężniejszej sekty wyrosłej z łona Kościoła, zrzeszającej miłośników władzy, nauczał, że kompromis jest brakiem zasad, a ludźmi kompromisu pogardzał nazywając ich tchórzami – ci, którzy nie podejmują walki, są niegodni uwagi, „gdyż czują się pokonani, zanim zaczęli". Kościół prowadzony coraz jawniej przez Opus Dei lekceważy ludzi kompromisu, czego nie może zrozumieć polski prezydent, przekonany, że ustępstwami zaskarbi sobie względy i za-

służy na aprobatę hierarchii kościelnej. Takim myśleniem własny naród zapędza do katolickiej owczarni.

Przybycie polskiego prezydenta do Gniezna to spełnienie marzeń Episkopatu. To cyniczne upokorzenie myślącej – niewierzącej części narodu. Zaś za zwycięstwem kościelnej woli pójdą czyny sług bożych, którzy nie uznają kompromisów. Próżno by czekać gestów miłosierdzia. Hierarchia kościelna nie czyniła ich nigdy.

Dlaczego ludzie boją się dowiedzieć, co kryje się za tabu św. Wojciecha? Dlaczego nie chcą zerwać zasłony fałszu i odkryć faktów? Na celebrację ofiary męczeństwa przystają mali i wielcy, historycy, politycy, psychologowie – nie chcąc wiedzieć, co niesie takie przyzwolenie: „święty" to określony typ wzoru osobowego. Hierarchia katolicka wie doskonale, jakie jest energetyczne oddziaływanie wzorców. Model zachowań, cech charakteru, reakcji, lęków, fobii „świętego" może żyć i odwzorowywać się w społeczeństwach lub narodach pod warunkiem, że jest uroczyście celebrowany. Parady służą do skupiania puli energii, którą zasila się sztucznie utrzymywany model zachowań, np. fanatyzm, apodyktyczność, neurastenię. W relacji zwrotnej wyznawcy przejmują w siebie system myślowy, emocjonalny, wszystkie skrzywienia charakterologiczne męczennika.

Manipulacja energiami daje władzę, toteż Kościół jest naczelnym orędownikiem nieistnienia energii. W przeszłych wiekach „odkrywcy" antymaterii płonęli na stosie.

Uznanie św. Wojciecha za patrona Polski przyzwoliło na ingerencję Kościoła w życie jednostki, akceptację fanatyzmu, brutalnej nietolerancji, nakazało wiarę w kłamstwa autorytetów, doprowadziło do apoteozy życia uwieńczonego ofiarą za „sprawę", a przede wszystkim stworzyło instytucję słowiańskiego woja. Św. Wojciech w rzeczywistości jest patronem walki władzy duchowej ze świecką i niezgody narodowej. Był klinem wbitym w naród polski. Ostatnim klinem dobijającym ten naród jest Woj-tyła.

Czytając wnikliwie żywoty świętych w kontekście wydarzeń historycznych można prześledzić zawiłe meandry polityki kościelnej, wdzierającej się w życie narodu i indywidualnego człowieka. Narzucona wiara zawsze upośledzała myślenie człowieka, degenerowała go, ogłupiała całe

narody. Świętych mamy tysiące, bo tysiące intencji zniewalania ma rządząca hierarchia. Święci – patroni państwowi służą do utrzymywania narodów stale w tych samych podstawowych błędach, słabościach. Wzory osobowe odciskają moralne piętno, wymuszają zgodę np. na łamanie praw człowieka. Asceta pod presją „memento mori" oddawał cały swój majątek na rzecz Kościoła, żył w ubóstwie, umartwieniu, posłuszeństwie kapłanom. Hasło szeroko pojętej ascezy masowo przerabiało normalnych ludzi w neurotyków, fanatyków, zboczeńców.

Propaganda kościelna wymodelowała też ideał rycerza chrystusowego, wojownika mordującego w imię wiary wszystko, co pogańskie. Rezultatem tej propagandy były wojny z Maurami, wyprawy krzyżowe, zbrodnicza działalność zakonu Kawalerów Mieczowych Najświętszej Marii Panny, wyżynanie Słowian, Indian, ludności tubylczej terytoriów, które rycerz zajmował dla swego boga. To również nie kończące się walki bratobójcze, wojny domowe. Śmierć za wiarę stała się ofiarą najmilszą bogu. Czy nie pora, by wreszcie zastanowić się kim jest ten, który nazwał się bogiem? Po co bogu tyle krwi i trupów? Komu i do czego potrzebne są sfanatyzowane, psychicznie pokręcone baranki boże? Odpowiedź uznajemy za tabu. Szanujemy tajemnicę bożą, mimo że z tej tajemnicy, jak z puszki Pandory, wylazły wszystkie nieszczęścia Ziemian, a dotykają nas osobiście po dziś dzień. Odważmy się wreszcie postawić naiwne pytanie. Skoro tak szlachetne ideały wpajają religie, dlaczego tak chore są nasze społeczeństwa?

Światowy Kongres Eucharystyczny, uroczystości męczeńskiej śmierci Wojciecha, pielgrzymka papieża w 1997 roku miały być wyrazem triumfu chrześcijaństwa (krzyża) w Polsce, tym chełpi się hierarchia. Dla zwyczajnego Polaka to dowód, że wreszcie po tysiącletnich zmaganiach udało się zapanować nad myśleniem Polaków. Centrum Europy, które najdłużej broniło swojej bezwyznaniowej tożsamości, dziś jest ofiarą składaną stolicy apostolskiej przez papieża-Polaka. Ten nie waha się poświęcić własnego narodu. Gdyby to się udało, byłby to największy łup Watykanu w historii chrześcijaństwa. Odebranie tożsamości narodowej Polaków na rzecz uczynienia społeczeństwa katolickiego – to zabezpieczenie interesów obcego państwa, to przejście w lenno stolicy papieskiej.

Przez całe wieki dbano, by Polska nie wychodziła ze struktury cierpienia, by na co dzień była uwikłana w intrygi, skłócona ze wszystkimi sąsiadami. By wreszcie udręczona do końca zaparła się siebie, własnego rozumu, mądrości, wiedzy i padła na kolana przed mitem zniewolenia, doktryną, która człowiekowi nie pozostawia miejsca na myślenie i własne wnioski.

I tak jak feniks – z popiołów powstanie na zgliszczach świata, co sam się do rozpadu doprowadził. Ze zgliszcz wyłoni się nowe. Wydobyte i wytopione zostanie ze starych form, co choć są już zmurszałe, zatrzymują w sobie drobiny do całości dzieła niezwykle potrzebne. A każdy różne nowego niesie ilości. W momencie powołania do zaistnienia, który już był i jest, i będzie, zostanie pewien blask z Ziemi – co znaczy: „gotowość".

Rozpocznie się wszystkiego niewyobrażalna wprost wrzawa. A uczynią to ludzie. I nadejdzie sąd. A każdy sam sobie sędzią i katem będzie. Wszystkie rachunki wyrównane zostaną i nic w tym strasznego nie ma. Takie bowiem jest prawo, choć te dni dniami strachu coraz większego będą.

Rzecz cała od rodu słowiańskiego zacząć się powinna. Są bowiem – bo być muszą – ludzie, którzy przygotowani będą. Oni w sobie słowo niosą, które rozpoczyna wszystko na nowo. Zabrzmi ono, gdy wszelkie elementy scalą się w jedno. Dlatego też szarpać będzie ludzi okrutnie – to, co w nich jak perły, ciągnąć ich ku nowemu zacznie. Stare, choć coraz słabsze, w drugą stronę zaś wieść będzie. Ci, co nie zechcą ku całości dążyć, samoczynnie się oderwą. A dziury w ich ciałach tak ogromne powstaną, że schodzić będą.

Z Polski rzecz cała musi wypłynąć, a praca czeka ogromna tych, których do niej przeznaczono. Są oni dla ludzi kierunkiem i drogowskazem. Do nich lgnąć będą choćby i na moment. Przez nich jak przez bramę docierać będą do całości, gdy wszyscy skierują się ku jedności. Dla wielu niewidzialne będzie to zjawisko, bo Całość bez bogactw materialnych będzie się tworzyła. Gromadzić z ludzi to, co czyste jest, żadną skazą ni kłamstwem nie naruszone. Tak jak ognie wśród ciemności, światło spójnych praw jasne i czyste widocznym stawać się będzie i zawezwie prawych. Nic, co

potrzebne, nie może zostać zapomniane ani poniechane. Wszystko zmierza teraz do jedności, która jest niepodzielna. Ogarnia wszystko. Niewidoczna czas jakiś, przenikała wszystko i była zawsze obecna – teraz zaś budzi się jako nowa siła. Zawiera ona dorobek wszystkich istot, a ostatni jej ziemski aspekt właśnie dołącza do Całości.

Wiekami odciągano myśl człowieka od człowieka, kierując ją na boga. Istota ludzka miała zapomnieć, że tylko w porozumieniu z drugą istotą ludzką dochodzi do całościowego rozwoju człowieka. Ale nie masz w całym Wszechświecie nikogo, kto mógłby być pierwszy przed człowiekiem. I nie masz nic ważniejszego dla człowieka niż drugi człowiek, który wskazówką, książką życia jest.

Czas teraz taki, że nie pomogą kapłańskie zapory. Jeśliś kiedykolwiek pracował dla zgody z prawami, masz tę prawdę w sobie. Sama wypłynie z ciebie i rozumienie faktów trudnych do rozpoznania przyniesie. Bo czas rozliczenia pozoru i fałszu, uprawianego przez wieki na Ziemi, już przyszedł, a żadna jednostka przed nim nie umknie.

Przez tych, co zdolni są, by owego ducha wszechrzeczy przejawiać – będzie się moc wielka pokazywać, nigdy nie znana wcześniej. Przyjście Nowego zapowiedziane było wielokrotnie, ale słowom prostym zawiły sens nadano i obrócono zapowiedź w groźbę, by fakty mogły być przeinaczane. Wszystkie stare słowa jednak są martwe wobec słowa nowego, a zabrzmi ono, gdy wszystkie elementy stare zdatne do nowego przez bramę przepłyną i stopią się w całość. Nowe słowo wtedy wybrzmi i nie z ust ono padnie, a właśnie zabrzmi mocą przeogromną. Dźwięk jego jak fala się rozejdzie, by poruszyć nowe tryby życia.

Jakbyś kamień w wodę rzucił, który kręgi tworzy i rozprzestrzenia, tak też nowy duch ogarniać pocznie wszystko. A słowa i ludzie, co częściami tego ducha wypełnieni będą, sobą Nowe poniosą. Bo oni są słowa przejawem. Słowem zaś żywym tylko takie, które w sobie ma moc zdolną pustkę wypełnić. Zadanie to Słowianom jest przeznaczone, między nimi światła najwięcej. Tam też w pierwszym momencie wszystko się zacznie. Stamtąd rozprzestrzeni się na świat cały przyzwanie dla wszystkich, co jak w śnie lunatycznym zamknięci są, by otworzyli oczy. A tego ci, co władzę sprawują, boją się najbardziej i myślą w naiwności i próżności swej głupi, że bieg i porządek rzeczy uda im się odwrócić. Nikt jednak władzy nie ma, aby zmienić to, co już jest dawno rozpoczęte. Żadna istota takiej siły nie ma. Ani jej nawet sobie wyobrazić nie umie. Nigdy wcześniej rzecz taka nie miała miejsca.

Dla tych, którzy się prawdy boją, będzie strachem. Dla tych, co poszukują – drogowskazem.

Wielu nie zdoła znieść widoku siebie. Lustrem staną się oczy drugiego człowieka. Nikt śmierci nieść nie będzie ani też pożogi. Bez katów i mścicieli rzecz się rozliczy. Prawa, co tak stare, że najstarsze, przypominane będą. I tylko ci, co wedle nich żyć potrafią, zostaną. Wszelkie istnienie kiedyś z jednego wywiedzione spójną całością zacznie się czynić.

I wzrastać zacznie nowy świat, w którym nic, co w poprzednim było, nie może zaistnieć. Między ludźmi granic żadnych nie będzie, a każdy na swoją miarę wszystko otrzyma. By jednak zaistnieć w czasie i miejscu tym – wpierw trzeba sen przerwać i ułudę, i kłamstwo, co mocno okowami świat cały spowija. Odsłonić to, co zasłonięte przed oczyma i uszami.

SPIS TREŚCI

ANTYTRYPTYK



„wierzę – nie myślę
myślę – żyję wiecznie"

„Bóg człowiekowi taki los zgotował" Anny Mielnik stanowi pierwszą część antytryptyku – wyjątkowej całości edytorskiej, w której został ukazany ogrom spustoszenia w ludzkim myśleniu, dokonany przez Kościół katolicki i ideę chrześcijaństwa. Dzieje Polski i środkowej Europy posłużyły jako pretekst do przedstawienia specjalnego typu indoktrynacji katolickiej. Co pozwala w pełni uzmysłowić sobie okrucieństwo „planu boskiego", bezwzględność namiestników boskich zniewalających narody.

Dwa kolejne tomy: „Koniec boga – początek człowieka" Edwarda Mielnika i „Boga nie ma" Ewy Mielnik, pozostając odrębnymi całościami, dopełniają w szerszym planie treści tomu pierwszego.

Antytryptyk poprzez zawarte fakty, treści, konkluzje zrusza wszelkie kanony myślenia: wierzysz w coś, kogoś, będąc ortodoksyjnym wyznawcą, intelektualistą, ateistą, znaczy – nie myślisz. Lektura dwóch kolejnych części antytryptyku dobitnie uzmysławia, że żaden ołtarz wiary nie zastąpi wiedzy o energetycznej istocie bytu ludzkiego.

Znajomość świata energii, świadomość istnienia przestrzeni równoczesnych jest równoznaczna z możliwością wyjaśnienia wszystkich ludzkich reakcji, zachowań. Oznacza, że człowiek może świadomie kiero-

wać swą egzystencją. Nie musi uciekać w świat religii, kościoła, sekt. Nie musi czekać w przerażeniu na przeznaczenie, liczyć na szczęśliwe zbiegi okoliczności. Dziś większość populacji ziemskiej żyje w zabobonie, oddaje się rytuałom, gdyż zagubiła wiedzę o istocie swego bytu. Ucieka w wiarę, bo bez wiedzy jest bezradna.

Bóg i jego wysłannicy – skąd przybyli na Ziemię? Dlaczego sycili społeczeństwa i ziemskie narody intrygą, konfliktem? Dlaczego Ziemian skazano na samotność i izolację kosmiczną, choć Wszechświat tętnił życiem? Czemu człowiek nie może uwolnić się od udręki i cierpienia? Na te pytania i inne wątpliwości natury egzystencjalnej odpowiadają rozdziały tomu drugiego: „Koniec boga – początek człowieka".

W tomie tym zostały obnażone schematy manipulacji człowiekiem oraz mechanizmy degradacji ciała ludzkiego, sterowanego przez mózg. Po raz pierwszy zaprezentowano energetyczne funkcje mózgu, psychiki i umysłu.

Trzecia część antytryptyku, „Boga nie ma", uzmysławia, że era manipulacji materią dobiega końca, a systemy wiar wygasają, jako programy wyeksploatowane w ziemskim bycie. Człowiek zaczyna nową egzystencję bez boga. Tom trzeci antytryptyku to vademecum człowieka przełomu epok, zawiera rys konstrukcji nowej epoki bez obietnic nieba – bo owo nigdy nie istniało. Wszystko, co istnieje we Wszechświecie, jest dziełem człowieka, który tworzy dla siebie narzędzia: duszę i ciało, a także środowisko, w którym funkcjonuje – Wszechświat. Sięgać do wiedzy Wszechświata, korzystać z dorobku cywilizacji kosmicznych może każdy po opanowaniu lęku i wyciszeniu terkotu umysłu. Zaś współdziałanie, współpraca człowieka z człowiekiem, a nie bogiem – jest jedyną drogą rozwiązywania wszelkich problemów egzystencji ludzkiej – to podstawowa konkluzja tomu trzeciego, który zawiera również praktyczne wskazania na ten temat.

...Chrześcijaństwo wykształciło kastę bezwzględnych pasożytów. Duchowieństwo, niczym komórki rakowe nastawione na unicestwienie żywiciela – zachłannie pożerało Polskę; niszczyło przejawy myślenia, a mimo to ducha samodzielności nie udawało się zabić w Polakach.

...Św. Wojciech – słowianożerca, jako zdrajca przepędzony z własnego kraju, jako naiwny przebieraniec wyśmiewany w krajach pogańskich Bałtów, na Litwie i Rusi, zajadły doktryner łacińskiego Kościoła – doczekał się czci i chwały jako specjalnie zasłużony dla Polski. Po co On nam? Wojciech w rzeczywistości jest patronem walki władzy duchowej ze świecką i niezgody narodowej. Był klinem wbitym w naród polski. Ostatnim klinem dobijającym ten naród jest Woj-tyła.

...Historii Polski nieodłącznie towarzyszy kompromis przywódców wobec stolicy apostolskiej, skutkiem tego są stale trwonione siły, energie myślącej części narodu. Wszystko, co najlepsze, zaprzedawane jest nigdy nie nasyconej bestii, która oczekuje wciąż nowych ofiar, przede wszystkim w postaci energii, emocji i myśli ludzkiej. Takie ofiary są daleko cenniejsze od darów materialnych.

...Eucharystia – słowo-wytrych, sprytnie łagodzi to, co się za nim kryje: mord, na którym zbudowano wszystkie religie. Nieustanna krwawa ofiara była niezbędna do wzbudzania lęku, wiary w konieczność walki i prawo silniejszego w egzystencji człowieka. Dziś, poszerzona o ofiary psychiczne oraz finansowe, zabezpiecza różne systemy religijne. Ceremoniał eucharystii podtrzymuje świat manipulatorów, zabezpiecza pasożytniczą egzystencję hierarchów kościelnych.

...Czczenie ofiary ciała jednego za przewiny drugiego stało się najważniejszym sakramentem w codziennym rytuale katolickiej mszy: Krew – wino, Ciało – chleb. Monstrancja, hostia, piszczel męczennika – świat umowy, symbolu, ściągający jednak konkretną energię psychiczną z osób skupionych na mistrzu ceremonii.

ISBN 83-908568-0-8